

SPOTKANIA SŁIRZAN

Nr 5 (182)

LUBIN

2026 r.



Skazani podczas pracy w kamieniołomie znajdującym się przy szosie Lwów-Tarnopol. Tutaj pozyskiwano materiał, który później kolejką wąskotorową przewożono do głównej linii kolejowej.

Źródło: F. Katzmann, *Rozwiązanie kwestii żydowskiej w Dystrykcie Galicja* (2001, str. 27)

Szanowni Krajanie,



ostatnich dniach opinię publiczną poruszyła sprawa odebrania Orderu Orła Białego W. Żeleńskiemu. Prezydent Ukrainy otrzymał to najwyższe polskie odznaczenie państwowe przed trzema laty z rąk Andrzeja Dudy, m.in. „za rozwijanie współpracy na rzecz demokracji, pokoju i bezpieczeństwa w Europie oraz niezłomność w obronie niezbywalnych praw człowieka”. Nie bardzo w tym kontekście wiadomo, jakimi wartościami kierował się Żeleński, gdy w maju br. nadał elitarnej brygadzie wojskowej (Odrębnemu Centrum Operacji Specjalnych „Północ”) honorowe miano „Bohaterów UPA”. Dla Kresowiaków ta decyzja była jak policzek, a wielu uważa, że powinni ją tak odbierać wszyscy Polacy. – My nie wiemy, jak to było 50 czy 100 lat temu, bo często ta historia była przekreślona i Rosja zrobiła wszystko, żeby nie było informacji na 100 proc. – powiedział mer Lwowa A. Sadowy w Polsat News. I to przerzucanie winy na Rosjan, na trwającą wojnę, wydaje się takie typowe dla Ukraińców. Ale być może dzięki „orderowej aferze” świat także dowie się o zbrodniach OUN i UPA.

Mirostawa Bożyńska

Spis treści numeru 182

Str.

- 3. Kartka z pamiętnika. E.Yones. Droga do Lwowa (III).
- 18. Z. Michałowski. Więc to już jesień...
- 19. W. Kamińska. Zamienia słomę w złoto.
- 21. Pamiętniki miasta Glinian i okolic jego (I).
- 24. Wydarzenia z powiatu Przemyślany podane w *Kurierze Lwowskim* (cz. VIII).
- 35. A. Janeczek. Między sobą. Polacy i Rusini na wspólnym pograniczu XIV-XV w.
- 40. Korespondencje.
- 42. Pokłosie naszych publikacji.
- 45. Listy do redakcji.
- 46. Informacje.

Kartka z pamiętnika

Eliyahu Yones. Droga do Lwowa (cz. III)

Red. Na stronie www.books.google.pl znajdują się fragmenty książki Eliyahu Yonesa pt. „Die Straße nach Lemberg. Zwangsarbeit und Widerstand in Ostgalizien 1941-1944”. (Droga do Lwowa. Praca przymusowa i ruch oporu w Galicji Wschodniej 1941-1944). Wyd. Fischer Taschenbuch Verlag, 1999. Redakcja „Spotkań Świrzan” zwracała się za pośrednictwem Fischer Verlag, do spadkobierców autora o uzyskanie stosownego zezwolenia, ale nie otrzymała odpowiedzi. Później udało się otrzymać pełną wersję książki. Przytoczony fragment jest tłumaczeniem własnym. Część druga ukazała się w zeszycie nr 169.

Krwawa łaźnia

Spółeczność żydowska we Lwowie została zniszczona nie od razu, ale stopniowo. Pierwszy etap nastąpił tuż po inwazji Niemiec w postaci „Akcji telefonicznej”. Według adresów, które znaleźli w książce telefonicznej, Niemcy wyprowadzali Żydów z domów w nocy. W ten sposób wyłapano całą inteligencję żydowską, wszyscy żydowscy inżynierowie, prawnicy, biznesmeni i inni, którzy mieli telefon. Była to żydowska elita Lwowa. Dużo czasu zajęło Żydom zrozumienie, że była to akcja zaplanowana a nie przypadkowa, i uświadomienie sobie, co się dzieje z tymi ludźmi, których prowadzono do tzw. pracy.

Po tej „akcji” Żydzi musieli nosić gwiazdę Dawida, zakazano im korzystania z pociągów i tramwajów oraz wychodzenia z domów po godzinie ósmej wieczorem. Każdy, kto nosił ten znak, stawał się osobą posiadającą „specjalne prawa”.

Praca w szpitalu dawała mi poczucie spokojnego życia, ale pewnego ranka przed pójściem do pracy pojawił się niemiecki oficer i kazał nam w ciągu godziny opuścić dom. Nie było to dla mnie trudne, bo nie miałem przy sobie żadnego dobytku. Jednak los ten był bardzo trudny dla Żydów, którzy od wielu lat mieszkali w swoich domach. Każdy mógł zabrać ze sobą jedynie paczkę ważącą kilka kilogramów. I tak wszyscy Żydzi z ulicy Kazimierzowskiej i okolic opuścili swoje domy, pozostawiając niemal cały swój majątek. To samo wydarzyło się następnego dnia na innej ulicy. W ten sposób obszar, na którym mieszkali Żydzi, kurczył się coraz bardziej, aż w końcu zebrano ich w jedną

dzielnicę, „dzielnicę żydowską”, która z czasem została przekształcona w getto.

Wychodząc tego samego dnia z domu, przeczytaliśmy zawiadomienia nakazujące utworzenie specjalnej dzielnicy żydowskiej. Friedke i ja pojechaliśmy do centrum miasta, gdzie było Centrum żydowskie, znajdowało się w domu lekarza. To był znajomy, jego córka uczęszczała do konserwatorium u Friedkego. Spędziliśmy z nimi cały dzień i zastanawialiśmy się, co robić. Ponieważ na drugi dzień lekarz musiał jechać do pracy w ambulatorium, postanowiliśmy, że jego żona i ja pojedziemy do dzielnicy żydowskiej w poszukiwaniu mieszkania dla nas wszystkich. Jego córka i Friedke powinni pojechać do miasta i spróbować zdobyć jedzenie.

12 listopada 1941 r. udałem się z żoną lekarza do dzielnicy żydowskiej, aby zapewnić nam mieszkanie. Granicę tej dzielnicy stanowił most kolejowy. Kiedy tam pojechaliśmy, ulice były opustoszałe. Pod mostem stał ukraiński policjant, bez słowa dał nam znak, żebyśmy przeszli na drugą stronę mostu. Poszliśmy i po około dwudziestu metrach nagle podszedł do nas młody mężczyzna w cywilnym ubraniu i zwrócił się do mnie przyjacielsko.

– Może mógłbyś wejść do tego domu na chwilę? – Wskazał dom po drugiej stronie ulicy. Zobaczyłem, że nie ma możliwości dyskusji i powiedziałem mu:

– Proszę bardzo.

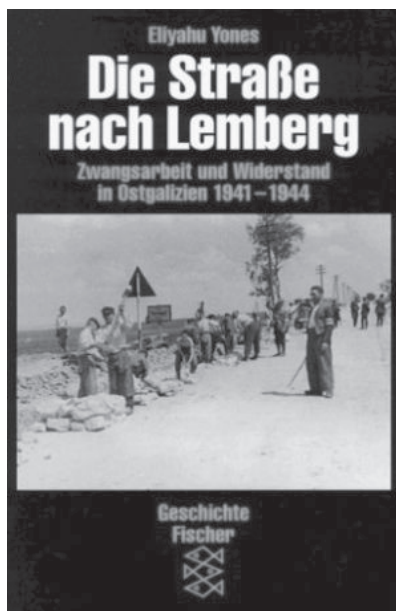
Nie mieliśmy żadnych przeczuć, a żona lekarza została pod drzwiami i czekała na mnie. Działo się to na ulicy Warszawskiej 4. Z tabliczki na bramie wiedziałem, że to szkoła. Przeszliśmy długim korytarzem i kiedy dotarliśmy do końca, mój towarzysz zapukał do drzwi po prawej stronie, otworzył je i powiedział grzecznie:

– Proszę wejść.

Kiedy wszedłem, zostałem pobity, nie będąc w stanie rozróżnić, skąd padły ciosy i kim byli sprawcy. Gdy doszedłem do siebie, naprzeciw mnie zobaczyłem biurko, jak w gabinecie porządkowym, za którym siedział esesman. Zbirami byli miejscowi Ukraińcy, którzy działali na polecenie Niemca. Po pięciu, sześciu minutach Niemiec machnął ręką i nakazał zaprzestać bicia. Wypytywał mnie o najróżniejsze szczegóły, które zapisywał w książce, którą miał przed sobą. Zapytany o zawód odpowiedziałem: „Stolarz”. Zrobiłem tak, bo wiedziałem, że po „Akcji

telefonicznej” wykonywanie wolnego zawodu jest bardzo niebezpieczne. Po przyjęciu przeszukali moje ubranie, zabrali zegarek, szczyryk i ostatnie grosze i przedstawili mnie jako „pusty przedmiot”. Po przeszukaniu kazano mi iść prosto i w lewo, a Ukrainiec poprowadził mnie w tym kierunku.

Dotarłem za dom. Wielu Żydów stało już tam w dwóch długich rzędach, zwróceniu twarzą do ściany. Zostałem umieszczony pomiędzy nimi. Po chwili zrozumiałem, co się stało.



Okładka drugiego wydania książki

Prawdopodobnie jeszcze tego samego ranka przywieziono tu setki Żydów szukających mieszkania, tak jak ja. Ukraińscy policjanci stali za dwoma rzędami z karabinami w dłoniach i co kilka minut powtarzali tę samą komendę: „Nie ruszajcie się”. Każdy, kto poruszył głowę, kolaniem lub wypowiedział słowo, był bity w tę część ciała, którą się poruszał. Każdy, kto się odwrócił, był rozstrzelany na miejscu. Więc staliśmy, czujni na komendę „Uwaga” – od szóstej rano do około czwartej lub piątej po południu.

Stałem wśród młodych ludzi, ale w ciągu dnia widziałem też grupę starszych. Byli to ludzie z brodami, pobożni Żydzi z jesziwy i sal modlitewnych, i osoby niepełnosprawne fizycznie, które schwytyli w mieście.

Nie stali w rzędach tak jak my, lecz leżeli lub siedzieli w różnych pozycjach, podczas gdy policjanci z nimi wszystkimi rozmawiali. Ludzie, którzy nie mogli chodzić, musieli ścigać się, wspinać się na drzewa i skakać z nich. Oczywiście tym „występom sportowym” przez cały dzień towarzyszyły bicia.

Około czwartej lub piątej po południu usłyszeliśmy jadącą za nami ciężarówkę. Nie próbowaliśmy zawrócić. Nagle pojawiło się kilku Ukraińców, zaczęli krzyczeć i zmusili nas, popychając i bijąc, abyśmy szybko

wsiadli do samochodu. Był jednak za mały, aby pomieścić nas wszystkich. Z powodu tłumu jeden upadł na drugiego. Wszyscy próbowali jak najszybciej wstać, aby uniknąć bicia. Ciężarówka była przykryta plandeką, a rozkaz był jasny: nie wystawiać głowy, nie dotykać plandeki ani nie robić niczego innego, co wskazywałoby, że w środku byli ludzie, gdy jechaliśmy ulicami miasta. Jeżeli wystawała jakaś część ciała, Ukraińcy uderzali kijami w plandekę. Samochód jechał szybko, a my leżeliśmy jeden na drugim, prawie nie mogąc oddychać. Po pięciu minutach samochód się zatrzymał. Znowu rozległy się krzyki i rozkazy szybkiego opuszczenia samochodu. Zeskoczyliśmy i wszyscy przeszliśmy pomiędzy rzędami Ukraińców w cywilnych ubraniach, ze specjalnymi opaskami i kijami w rękach. Szliśmy jeden za drugim, a Ukraińcy ciągle nas bili. Wreszcie, kiedy każdy z nas został pobity, znaleźliśmy się na parterze domu.

Od mieszkańców Lwowa, którzy byli z nami, usłyszeliśmy, że byliśmy w łaźniach na ul. Pełtowej. Tam musieliśmy stać w długich rzędach i kazano nam oddać złoto i inne kosztowności, które były w naszym posiadaniu. Nikt się nie poruszył ani nic nie powiedział. Potem kazali nam przejść na drugą stronę pokoju. Ponieważ na placu, na którym początkowo staliśmy, niektórzy z nas rzucili na ziemię biżuterię, pieniądze i złote monety. To rozpałiło Ukraińców, a kiedy zgarnęli łup, tę grę powtórzono kilka razy z jednej strony pokoju na drugą, dopóki nie byli pewni, że im wszystko przekazaliśmy.

Gdy właściciele biżuterii stracili w ten sposób majątek, który chcieli przeznaczyć na mieszkanie, zaprowadzono nas do przedpokoju łazienkowego. Był zupełnie pusty, bez ławek, na których można by usiąść, a podłoga była z betonu. Ściany były bez okien, nie było także drzwi wyjściowych. Musieliśmy leżeć na podłodze, wzdłuż ścian, tak aby środek pokoju pozostał zupełnie pusty. Pod wieczór włączono światła elektryczne. Nagle otrzymaliśmy nową komendę: „Śpiewajcie”. Na środku sali zebrało się wielu Ukraińców, później przyszły też Ukrainki. Śpiewanie im się podobało i z niecierpliwością czekali na nadchodzące wydarzenia.

Ukraińcy znęcali się nad nami do wczesnych godzin porannych. Ich hańba osiągnęła swój punkt kulminacyjny, gdy wybrali starego Żyda, który miał w ręku dużą księgę, Gemara, którą czytał. Kazali mu położyć książkę na podłodze i odtąńczyć na niej taniec chasydzki. Początkowo odmówił, ale w końcu został zmuszony do ustąpienia, gdy pobili go bez

litości. Zaczął tańczyć, podczas gdy stojący wokół niego Ukraińcy bili go, a jego tańcowi towarzyszyły okrzyki aplauzu. Potem położyli go na podłodze i podpalili jego brodę, lecz broda nie spłonęła.

Podczas gdy niektórzy Ukraińcy dbali o jego brodę, inni wzięli z naszych szeregów sześciu brodatych Żydów, posadzili ich obok starca i także podpalili ich brody. Początkowo brody mocno się paliły, ale ogień się rozprzestrzenił, zajął ubrania i Żydzi spłonęli żywcem na naszych oczach. To był straszny, szokujący widok. Patrzyliśmy i instynktownie obawialiśmy się, że ogień rozprzestrzeni się na nas. Odsunęliśmy się od ich ciał, które trawiły płomienie. Ogień pchnął nas pod ścianę, a czasem był tak silny, że nawet synowie szatana bali się, że dom się spali.

Od czasu do czasu polewali płonące zwłoki wodą, aby powstrzymać ogień. Gdy zgasło, zamęczeni na śmierć już nie powstałi. Niektórzy z nich umarli ze strachu, inni dosłownie spłonęli żywcem.

Ukraińcy kontynuowali swoje nadużycia. Zabrali z naszych szeregów głuchego, łysego Żyda. Jego głowa służyła jako cel w ich ćwiczeniach strzeleckich. Zrzucili mu na głowę drewniane i metalowe urządzenia do kąpielii. Konkurs zakończył się bardzo szybko, gdy głowa została przestrzelona na pół, a mózg rozlał się na ubranie i podłogę.

Wśród nas był Żyd z krzywą nogą. Ukraińcy próbowali go siłą wyprostować. Żyd krzyczał głośno, lecz bezskutecznie. Spędzili tyle czasu na prostowaniu jego stopy, że ją złamali. Żyd już nie wstał, bo też miał złamane serce.

Z drżeniem wszyscy byliśmy zmuszeni śpiewać te okrucieństwa, za co w nagrodę otrzymaliśmy solidne lanie. Na początku Ukrainki siedziały na sali i z głośnym śmiechem i brawami przyglądały się „ćwiczeniom”. Kiedy jednak szaleństwo osiągnęło swój szczyt, krzyknęły ze strachu i uciekły, a towarzyszył im dziki śmiech Ukraińców.

Bito nas przez całą noc. Nad ranem leżałem na ziemi wśród 23 żywych osób, pozostałych z około 300 osób, które przywieziono tu poprzedniego dnia. Większość zginęła w wyniku nieustannego bicia. Nasze szczęście i siła pomogły nam, 23 ocalałym, przetrwać do rana. Około godziny 10 przybył przywódca Ukraińców z niemieckim esesmanem, tym samym, który wpisał moje nazwisko do księgi, kiedy mnie tu przywieziono. Powiedział, że mamy szczęście i że wyda nas Żydom: czyli „dla twojego szczęścia”. I rzeczywiście: po godzinie przyjechała ciężarówka, z wielką uprzejmością nas załadowano i kazano nic nie wspominać

o poprzedniej nocy. Ukraińiec przyjechał z nami ciężarówką, rozmawiał z nami, a nawet częstował nas papierosami. Tą otwartą ciężarówką pojechaliśmy do urzędu pracy Judenratu, który mieścił się w liceum przy Zamknientastrasse.

Część pomieszczeń udostępniono na biura. Miejszem spotkań była sala gimnastyczna gimnazjum. Wprowadzili nas do tej dużej sali. W wyniku pobicia wszyscy odczuwaliśmy tak silny ból, że nie mogliśmy ani chodzić, ani leżeć. Przychodzili do nas ludzie z Judenratu i pytali, skąd przybyliśmy i co się z nami stało. Opowiedzieliśmy im wszystko, co wydarzyło się tamtej nocy. Przynieśli nam coś do jedzenia, ciepłą zupę. Kiedy to zjedliśmy, niektórzy z nas zaczęli płuć krwią i upadli. Wyprowadzono ich z sali i nigdy więcej ich nie widzieliśmy. Do wieczora byliśmy sami.

Było nas coraz mniej. Za każdym razem, gdy któryś z nas próbował zjeść, odpocząć lub położyć się, nie mógł już wstać. Wieczorem została nas tylko trójka. Jednym z nich był 40-letni Żyd w skórzanym płaszczu narzuconym na ubranie. Był właścicielem kiosku we Lwowie. Drugi był młodzieńcem, z zawodu krawcem, także ze Lwowa, a trzecim byłem ja. Nasza trójka przeżyła, wyzdrowiała i pozostała razem na długi czas.

W nocy w tej sali gromadziło się wielu Żydów. Powiedzieli nam, że oni również doświadczyli złego traktowania w podobny sposób jak my. Był to znak, że „akcja” wciąż trwa. W tym czasie przyprowadzono na salę znacznie więcej osób, ale nie były one bite tak jak my. To samo wydarzyło się 13 i 14 listopada. Sala była zatłoczona. Na 14 listopada nie było gdzie stać ani siedzieć. Każdą ilość zupy, którą nam przynoszono, zjadali głodni. Każdy starał się uzyskać więcej niż inni.

Było to około rana w sobotę 15 listopada, kiedy do zatłoczonej sali wszedł lekarz i zapytał:

– Kto potrzebuje pomocy lekarskiej?

Odpowiedzi udzieliły setki osób. Mimo że nie czułem się najlepiej, nie zaufałem oferowanej pomocy lekarskiej i nie zapisałem się. Po kilku godzinach przyszli, wywołali nazwiska zapisanych osób i zabrali ich do innego pokoju. Jak się później dowiedzieliśmy, kazano im zdjąć odzienie wierzchnie i buty i zostawić je na miejscu. Następnie załadowano ich do samochodu i, jak nam powiedzieli urzędnicy Judenratu, wszyscy zostali zabici.

Po chwili nadeszła grupa esesmanów. Kazali nam wstać, zdjąć czapki i stanąć na baczność. Jeden z nich wygłosił do nas przemówienie

i powiedział, że jest pewien że jesteśmy „zdrowym żywiołem”, który może przynieść wiele pożytku i że od tej chwili nic złego nam się nie stanie. „Zapraszał nas” do wyjazdów do obozów pracy, które powstawały we Lwowie i okolicach. Pracowalibyśmy w tych obozach, otrzymywalibyśmy żywność i nic by nam się nie stało, gdyż bylibyśmy pod nadzorem SS.

Na koniec przedstawił nas osobom, które przybyły z nim jako „liderzy obozu”. Podzieliliby nas między siebie i jako pierwsi udalibyśmy się do obozów. Jeden z tych esesmanów był wysoki. Miał brutalną minę i przerażający wygląd. Ale był piękny i bardzo męski w mundurze SS, jak typowy żołnierz. Był to Unterscharführer Epple, komendant obozu w Kurowicach. Kazał nam ustawić się w kolejce, przeszedł przez rzędy, wybrał kilka osób i poprosił, aby stanęli po drugiej stronie sali.

Wybrał więc grupę 70 osób, które mu się podobały, w tym mnie. Epple sprawdził nasze buty i ubrania i kazał każdemu, kto nie był odpowiednio ubrany, przejść do sąsiedniego pokoju i zabrać buty i ubrania pozostawione przez zamordowanych. Potem poszliśmy na podwórze, wsiedliśmy do dwóch ciężarówek, które czekały na zewnątrz, i pojechaliśmy ze Lwowa do wsi Kurowice.

Obóz pracy w Kurowicach

Kurowice położone są około 30 kilometrów od Lwowa. Dotarliśmy tam około południa i zaprowadzono nas do obozu. Znajdował się on w środku wsi, obok cerkwi ukraińskiej. Był to duży parterowy dom, przypominający barak, stojący niedaleko podwórza ukraińskiego księdza. Wokół domu i między nimi a koszarami znajdowały się dwa płoty z drutu kolczastego. Rosły tam kasztanowce, których długie i szerokie gałęzie pokrywały niemal całe niebo. W czasie okupacji rosyjskiej w barakach mieścił się klub młodzieżowy i kino. Teraz na tym dziedzińcu SS podjęło decyzję o budowie „obozu pracy przymusowej” w Kurowicach.

Kiedy przyjechaliśmy, zastaliśmy Żydów z okolicy, głównie młodych ludzi. Zaprowadzono nas do baraków. Na środku pomieszczenia znajdowała się rynna, a po obu jej stronach wejście do środka. Na dwóch piętrach ustawiono łóżeczka dziecięce. Na scenie stały też prycze jedna na drugiej. Przyjął nas Żyd nazwiskiem Süsser. Opowiedział nam po polsku, że w obozie wszystko idzie dobrze. Süsser był ze Lwowa. Nie był wysoki, ale miał szerokie ramiona i twarz czerwoną, jakby za dużo wypił. Nosił czapkę policji żydowskiej z lwowskiego getta. Była niebieska, jak polska

policja, z Gwiazdą Dawida. Miał na sobie także buty, spodnie „Galifa” i niebieski cywilny płaszcz. Przed wojną służył w wojsku polskim jako podoficer. Był zasymilowanym Żydem, mówił płynną polszczyzną, ale jidysz nie znał prawie wcale. Cały jego wygląd przypominał żołnierza zawodowego, który pomimo niskiego stopnia miał nawyk musiał wydawać polecenia swoim podwładnym.



Kamieniołom przy
szosie Lwów-
-Tarnopol.
Źródło: F.
Katzman,
*Rozwiązanie
kwestii żydowskiej
w dystrykcie
Galicja*
(str. 27)

To było tragikomiczne wydarzenie, gdy rano odbywał się apel. Najpierw wybiegł z baraków na podwórze, a stamtąd do kuchni obok i dał nam rozkaz szybkiego ustawienia się w szeregu. Następnie przeprowadził wstępny apel, po czym pobiegł z powrotem do baraków, aby szukać pozostałych zaginionych. Kiedy usłyszał zbliżającego się konia, krzyknął: „Uwaga!”, a następnie: „Zdejmijcie czapki!”. On pierwszy zdjął kapelusz i trzymał go poziomo w dłoni, tuż przy biodrze, tak aby wyglądało, jakby znajdował się na głowie stojącej obok niego mniejszej osoby.

Tym wyglądem bawił się w oficjalną grę polskiego żołnierza podczas apelu, lecz Epple przez większość czasu nie zadowolął się rozkazem Süssera i lubił sam go powtarzać kilka razy, żeby zobaczyć, czy wszyscy razem natychmiast zdjęli czapki. Jeśli ktoś nie stawiał się na apelu lub uciekł, twarz Süssera na przemian stawała się czerwona i biała. Naprawdę nie można było mu pozazdrościć. Pobiegł do Epple i wrócił do nas, całkowicie zdezorientowany i trzęsący się ze strachu. Epple często go „uspokajał” trzaskiem z biczka. Potem Süsser pozostał na swoim miejscu,

pełen wyrzutów sumienia, i apel dobiegł końca. Pomimo wszystkich jego wysiłków. Choć sprawiał wrażenie dowódcy, my postrzegaliśmy go jako osobę po prostu nieszczęśliwą. Często dzielił nasz ból, nie mając możliwości, aby nam pomóc.

Po przyjęciu, jakie wydał nam Süsser po przybyciu do obozu, wyjął paczkę żółtych skrawków, niektórym z nas dał igły i nitki oraz kazał przyszyć żółtą gwiazdę na klatce piersiowej i tyłu naszej odzieży wierzchniej. Następnego ranka pojechaliśmy do pracy na drodze Lwów do Tarnopola. Musieliśmy poszerzyć, naprawić i ulepszyć drogę. Droga ta była ważną arterią komunikacyjną niemieckiego Wehrmachtu, dokąd konwoje wojskowe z żołnierzami i sprzętem wojennym toczyły się nieprzerwanie na front wschodni. Naszymi przełożonymi byli esesmani, ale prace wykonywały kompanie niemieckie pod kierownictwem organizacji Todt.

Za tę sekcję odpowiedzialna była austriacka firma Svetelsky z Linzu. Wykonała wszystkie prace z tym związane. Kompania SS płaciła określoną kwotę za każdego pracownika, który dla niej pracował. Za te pieniądze SS utrzymywało cały obóz. Niemieccy kierownicy pracy czuwali nad nami podczas pracy, ale ich obchodziła tylko wydajność naszej pracy. W przeciwnym razie podlegaliśmy SS, które pilnie nas strzegło, abyśmy nie mogli uciec. SS udostępniło specjalną policję, która miała nas pilnować. Byli to Ukraińcy w mundurach obozowej policji. Ten mundur był jeden poza ogólną policją ukraińską w miastach i na wsiach.

Nasi ludzie nie znali się na robotach drogowych. A ta praca szczególnie wymagała doświadczenia zawodowego. Przełożeni nie próbowali nas pouczać w pracy, ale bili nas nieustannie, tak że byliśmy przekonani, że ich celem nie była praca, ale bicie.

Wstaliśmy o piątej rano i poszliśmy do kuchni napić się kawy. To była czarna woda bez cukru i tyle. O świcie staliśmy już w półkołu, gotowi do apelu. Süsser stanął naprzeciwko nas i zawołał nasze imiona. Po wydaniu komendy „Rusz!” trzeba było maszerować ze śpiewem, a jadący na koniu Epple czekał na nas przy bramie, przyglądając się idącym do pracy. Jeśli widział, że ktoś kuleje lub zwiesza głowę, kazał mu wyjść z szeregu.

Następnie odbył się drugi apel poza obozem, gdzie kierownicy pracy podzielili nas na małe grupy. W tym samym czasie rozstrzeliwano tych, którzy wyszli z szeregu i pozostali na podwórzu. Wiedzieliśmy doskonale, że każdy z nas jest tylko jednostką pracy. Gdyby nie mógł już dobrze chodzić, byłby to dla niego wyrok śmierci. Po rozstrzelaniu sła-

bych, zabrali nas dwóch lub trzech, aby zabrać ofiary do dużego dołu około 100 metrów za obozem, z którego miejscowi rolnicy czerpali glinę, którą tynkowali chaty. Była to ogromna, głęboka dziura, którą kopano przez wiele lat. Teraz służył jako miejsce pochówku naszej pracy i fatalnych towarzyszy w obozie.

Po pewnym czasie przestali strzelać do ludzi na podwórzu. Zamiast tego zabrano ich żywych do dołu w towarzystwie ukraińskiego strażnika. Ustawili się blisko siebie i na komendę „Ogień!” Ukraińcy strzelali, a ofiary wpadały do głębokiej jamy, ich wiecznego grobu. Te morderstwa były w obozie codziennością, a ofiary musiałem grzebać kilka razy.

Po drugim apelu maszerowaliśmy do pracy i trzeba było śpiewać. Każdego ranka rolnicy, którzy wstawali wcześniej, mogli widzieć duże grupy Żydów śpiewających do pracy, a ich twarze wyrażały obrzydzenie. Najczęściej śpiewaną piosenką była polska piosenka o młodej dziewczynie, która wcześniej rano wychodziła na pastwisko z krowami. Zaśpiewaliśmy tę powolną piosenkę na dwa głosy i maszerowaliśmy dalej powolnymi krokami.

Ale kiedy wracaliśmy z pracy, zwykle śpiewaliśmy wesołą piosenkę w szybkim rytmie, gdy spieszyliśmy się, aby dostać się do obozu na odpoczynek. Może piosenka spodobała nam się także ze względu na jej refren: „Nie mamy wolnej minuty ani spokojnej nocy”.

Wśród nas były grupy pracujące na ulicach, kopiące i budujące drogi. Ale były też grupy, które wysyłano do pracy w kamieniołomie koło wsi Turkocin, trzy kilometry na południe od Kurowic. Poszliśmy tam pieszo. Wysadzaliśmy warstwy kamienia i przewoziliśmy go wozami rolników, aby budować drogi.

Ludzie w pobliżu obozu zostali przywiezieni do obozu na lunch. Dla tych, którzy pracowali na większą odległość, lunch był dowożony do miejsca pracy. Składała się z miski zupy, czyli rzadkiej wody z kilkoma kawałkami ziemniaków lub buraków cukrowych. Wieczorem dostaliśmy coś na kształt kawy i kawałek chleba o wadze 175 gramów. Bochenek chleba o wadze 1,4 kg rozdzielony pomiędzy osiem osób. Nazywano go „ósemką”. Co wieczór podczas rozdawania chleba dochodziło do bójek. Często dochodziło do sporu o „ósemkę”, która wydawała się odbiorcy za małą. Oczywiście nasza racja nie była wystarczająca i ludzie próbowali wszelkich możliwych sposobów zdobycia dodatkowej żywności.

Dopóki w okolicy istniały getta, Żydzi z sąsiednich miejscowości: Gliniany, Bóbrka, Hanaczów, Przemyślany i innych otrzymywali tam żywność od swoich rodzin. W zamian za służbę oddawali swoją „ósemkę” innym ludziom, którzy nie mieli nic do jedzenia poza racjami żywnościowymi. Początkowo był to jedyny ze sposobów na poprawę ich sytuacji.

Dodatkową ścieżkę żywnościową odkryto wokół kamieniołomu we wsi Turkocin. Ta wioska była trzy kilometry od drogi, ukryta za wysokimi górami, które ją otaczały, i panowało tam spokojne życie. Rolnicy w tej wsi prawie w ogóle nie widywali Niemców. Nie byli jeszcze przyzwyczajeni do szokujących scen, które mieszkańcy Kurowic na co dzień widzieli na własne oczy. Widok towarzyszących im Żydów, obdartych i głodnych, przywiezionych do tej odległej wioski przez policjanta, zmuszonych do głośnego śpiewania i pobitych podczas maszerowania – ten widok wywarł niezatarte i głębokie wrażenie na mieszkańcach wioski.

We wsi mieszkała rodzina żydowska. Ojciec rodziny o imieniu „Jankel” przyniósł kiedyś towarzyszącemu nam policjantowi butelkę wódki i poprosił o pozwolenie na przyniesienie nam jedzenia. Uzyskał

zgodę i odtąd ten Żyd wraz z rodziną dostarczał nam żywność. Zwykle kładli żywność u podnóża góry i stamtąd ją dostawaliśmy. W tym czasie wielu nie-Żydów przywoziło nam także żywność. W ten sposób między niektórymi z nich a nami nawiązała się zna-



„Wielka była radość funkcjonariuszy SS, kiedy w roku 1942 Reichsführer SS osobiście zwiedził kilka położonych wzdłuż budowanej szosy obozów.”

Źródło: F. Katzman, *Rozwiązanie kwestii żydowskiej w dystrykcie Galicja* (str. 21)

jomość. Czasem w niedziele, kiedy gotowali w domu w dużych garnkach, nas, Żydów, zapraszali do siebie, żeby zjeść z nimi obiad. I tak ludzie pracujący w Turkocinie cieszyli się dodatkowym wyżywieniem.

Wśród nas było kilku Żydów, którzy kupowali towary od mieszkańców wsi i sprzedawali je w obozie tym, którzy nie mogli dotrzeć do wsi. To też pomogło niektórym osobom. Zwyczaj ten rozprzestrzenił się obecnie na wszystkie miejsca pracy. Za wiedzą lub bez wiedzy policjanta ludzie opuszczali miejsca pracy i udawali się do mieszkańców wsi po żywność. Wiadomo było już, kto jest „dobrym gojem”, z którego domu nie można wrócić głodnym, a kto człowiekiem brutalnym i złym, zdolnym wydać Żydów w ręce policji.

W ekipie budowlanej

Z biegiem czasu Niemcy zaczęli budować mosty na rzekach i potokach. Zamiast mostów drewnianych z czasów Królestwa Polskiego planowano mosty betonowe. Tę pracę wykonała firma z Westfalii zajmująca się budową obiektów inżynieryjnych, drogowych i mostowych. Nieco później pojawiła się kolejna firma, która zbudowała silosy zbożowe. Niemcy odbierali od rolników zboże i wysyłali je do Niemiec.

Wzdłuż drogi Lwów-Tarnopol utworzono jeszcze dziesięć obozów, podobnych do naszego, każdy odpowiadający za odcinek tej drogi. Kiedy na naszym odcinku obok stacji kolejowej Kurowice miał powstać silos, również musieliśmy wykonać te prace. Budowniczymi dróg byli ludzie z firmy Svetelsky w Linzu, w większości zwykli robotnicy, których partia nazistowska obsadziła na tych stanowiskach. Ich zachowanie wobec nas było bardzo złe. Kierownik budowy Schwameida i jego zastępca Stadler byli tam przez cały dzień. Podróżowali motocyklem i mogli łatwo dotrzeć do różnych grup roboczych. Jeśli któryś z nich był w grupie roboczej, oznaczało to pobicie bez powodu.

Pierwszego, dość zimnego dnia pracy, postawili nas obok sterty kamieni leżącej kilometrami na poboczu drogi. Grupy składające się z dwóch do trzech osób musiały rozbijać duże kamienie na żwir małymi młotkami. Już pierwszego ranka kompania Świetelskiego i esesmani przybyli do każdej grupy i sprawdzili, jak przebiega praca. Stadler chodził z kijem w dłoni, zatrzymując się przy każdej grupie, która nie rozbiła jeszcze kamienia i uderzał kijem ludzi.

Kiedy pracowałem dla „Judenratu” we Lwowie, kilka razy brałem udział w pracach żwirowych i dobrze znałem tę pracę. Wiedziałem jak ułożyć kamień, żeby łatwo się rozbił.

Stadler też przyszedł do mnie. Nie podniosłem wzroku, udawałem, że nie zauważam jego zbliżania się. W rzeczywistości cieszyłem się, że dzięki znajomości tej pracy udało mi się uniknąć bicia już pierwszego dnia pracy w obozie. Ale nagle poczułem kij na plecach. Usiadłem, a Niemiec zapytał mnie:

– Gdzie uczyłeś się tej pracy?

Odpowiedziałem mu, że jestem długoletnim pracownikiem budowlanym. Zwrócił się do towarzyszących mu ludzi i powiedział:

– Słyszeliście? Żyd był robotnikiem! W uznaniu zadał mi jeszcze kilka ciosów kijem w plecy i odszedł.

Pracownicy firmy z Westfalii, która budowała mosty, to zupełnie inni ludzie. Byli to prawdopodobnie wykwalifikowani robotnicy budowlani, a niektórzy nawet technicy i inżynierowie. Mimo że nosili mundury Organizacji Todt, traktowali nas zupełnie inaczej. Kiedy rano przywieźli potrzebnych pracowników, nawet nie słyszeliśmy ich krzyków. Ze spokojem, wręcz uprzejmością, selekcjonowali robotników i dzielili ich na grupy. Każdy, kto pod nimi pracował wiedział, że rozumieją swoją pracę i są zainteresowani jedynie jej wykonaniem.

Aby zbudować betonowy most, trzeba było najpierw zburzyć stary. Wcześniej trzeba było zbudować most pomocniczy, aby nie zakłócać ruchu na drodze. Moją pierwszą pracą w tej firmie była praca w grupie zajmującej się budową pomocniczego mostu drewnianego. Fundamentem mostu były filary, które mieliśmy wbić głęboko w ziemię, aby stabilnie stały. Pracowaliśmy po 30-40 osób, ale filary nie wnikały wystarczająco głęboko w ziemię.

Niemiecki majster budowy pobił nas bezlitośnie. Kiedy strażnik zobaczył, że majster budowy nie szczędzi bicia, wpadł w zazdrość i też uderzył. Staliśmy tak praktycznie godzinami, ale prace nie posuwały się do przodu. Kiedy wszyscy byliśmy bici i bici, zebrałem się na odwagę, zwróciłem się do kierownika budowy i poprosiłem go o pozwolenie na zorganizowanie pracy. Zgodził się. Zwróciłem się do moich kolegów z pracy w jidysz i powiedziałem im, że musimy wzmocnić nasze siły i pracować we wspólnym rytmie. Nadałem tempo i praca się rozpoczęła. Niemiecki kierownik budowy był zdumiony i wyraził swoje zadowolenie.

Znowu nabrałem odwagi i wyjaśniłem mu, że po 25 zamachach wypadłoby odpocząć, aby nabrać nowych sił.

Na początku przyjął moją sugestię z niedowierzaniem, ale szybko pokazaliśmy mu, że dobra organizacja przyspiesza tempo pracy. Od tego czasu liczenie się zmieniło i było dobre, dopóki nadal tam pracowaliśmy. Majster budowy zachowywał się teraz wobec nas znacznie lepiej, a kiedy został wezwany na front, nawet pożegnał się ze mną uściskiem dłoni.

Chleb

Fuchs z organizacji Todt był jednym z pracowników firmy Bernhardt naprawiającej samochody. Był to młody Austriak, który nie miał z nami nic wspólnego. Nigdy go nie spotkaliśmy. Pracował głównie w garażu, a wraz z nim było tylko kilku Żydów, z zawodu mechaników, którzy nie mieszkali z nami w obozie. Nocowali na farmie niedaleko garażu. Nazwisko Fuchs uznawano za niezłe gówno.

Któraś ranka Süsser przyszedł z Fuchsem do koszar, zanim zaczął się apel, i zawołał mnie. To było w te zimowe dni, kiedy moje buty zostały całkowicie zniszczone i przez kilka dni chodziłem do pracy w Turkocinie boso po śniegu. Süsser powiedział mi po polsku:

– Skoro jesteś boso, a ja nie mogę ci kupić butów, mam dobrą okazję, żeby zostawić cię dzisiaj w domu. Pan Fuks jedzie na dzień do Lwowa i trzeba posprzątać jego pokój, nagrzać piec i posprzątać. Potem usiądź i poczekaj, aż wróci.

Oczywiście, że się zgodziłem. Fuchs zabrał mnie do swojego pokoju i zostawił samego. Był to pokój w wiejskim domu. Gdy rozpałem piec, w pomieszczeniu zrobiło się miło i ciepło, a ogarnęło mnie uczucie, którego dawno nie czułem. Kiedy wszystko posprzątałem, zajęło mi to tylko kilka godzin, nagle znalazłem bochenek chleba, który Fuchs już zaczął jeść. Pokusa rosła i godzinami ciągnęło mnie do tego bochenka. Kilka razy podchodziłem do miejsca, gdzie był chleb, ale go nie dotykałem. W końcu znalazłem nóż i powiedziałem sobie: ukroję sobie kawałek chleba i Fuchs nawet tego nie zauważy. I tak to zrobiłem. Minęła kolejna godzina i ta wydawała się najdłuższa. Nie mogłem się powstrzymać i podszedłem drugi raz do chleba i odkroiłem sobie kolejny kawałek, ale tym razem tylko taki kawałek, jakiego potrzebujesz do błogosławieństwa nad chlebem. Chleb był dobrze upieczony, a ja przez długi czas byłem głodny.

– Zbrodnią jest zostawianie takiego chleba – powiedziałam sobie, zakreślając go. Ale chleb stawał się coraz mniejszy, więc szepnąłem:

– On nie zauważy, że czegoś brakuje. Próbowałem przekonać samego siebie o słuszności swojego czynu:

– Co jest dla niego bochenkiem chleba, kiedy jestem głodny? I odciąłem sobie kolejny kawałek.

Pod wieczór ponownie rozpałiłem ogień i usiadłem obok pieca. Znalazłem niemiecką gazetę i przeczytałem ją. Ciepło i zmęczenie ogarnęły mnie i zasnąłem. W tym samym momencie drzwi się otworzyły i prawie nie zauważyłem wejścia Fuchsa. Kiedy usłyszałem jego krzyk, podskoczyłem.

– Niemieccy żołnierze leżą w okopach na zimnie i w niebezpieczeństwie śmierci, a ty tu siedzisz i cieszysz się życiem!

W pierwszej chwili nie wiedziałem, jak odpowiedzieć. Kiedy zobaczył w moich rękach niemiecką gazetę, wyrwał mi ją, uderzył mnie w twarz i głośno krzyknął:

– Chcesz wiedzieć, jaki w niej jest świat? To nie twoja sprawa, zdechniesz jak pies!

Przecucie niebezpieczeństwa, które kryje się w każdym człowieku, było w naszym przypadku szczególnie wyraźne. Od razu zrozumiałem, że za wszelką cenę muszę uciec z domu. Ale Fuchs stanął między mną a drzwiami. Pewnie zrozumiał o co mi chodzi i usiadł na krześle, żeby zdjąć buty. Wykorzystałem ten moment i skoczyłem do drzwi, ale akurat gdy miałem klamkę w dłoni, uderzył mnie jego but. Skoczył za mną, zaczął mnie bić i rozkazywać:

– Zostań.

Kiedy ponownie usiadł, aby zdjąć drugi but, nagle zobaczył na oknie chleb, z którego został tylko mały kawałek. Podskoczył jak ukąszony przez węża, butem w dłoni zadał mi mocny cios i krzyknął:

– Zjadłeś trochę chleba! Jadłeś niemieckie jedzenie i dlatego z tobą zrywam!

Wyciągnął pistolet, wycelował we mnie i strzelił. Ale pistolet nie wypalił. Ścisnął go drugi raz, trzeci raz, a gdy to nie pomogło, rzucił się na mnie i uderzył kolbą pistoletu w głowę. Poczujęm, jak krew krąży mi po głowie. Błyskawicznie – wciąż nie potrafię wytłumaczyć, jak mi się to udało – rzuciłem się do drzwi, z całych sił je otworzyłem i zniknąłem w kierunku obozu.

Zygmunt Michałowski

Więc to już jesień...

Czyżby to jesień szła przez pola,
że tak się w rżyskach świeżych złocą...
W odpoczywaniu drzemie rola,
oparem znojnym w wieczór dyszy,
złoczone sierpy nie migocą – –
wszystko w słonecznej drzemie ciszy...

Czyżby to jesień w krasie plonów
szła ku nam już w wieczornej zorzy...
Mgła się rozwłóczy wśród zagonów,
w przydrożnym cicho legnie rowie
i z blaskiem świtu wśród bezdroży
zginie, dal mając za wezłowie...

Czyżby ta jesień słała gońca,
za którym idzie w ślad tęsknota,
że w pyle światel, w blaskach słońca
marzą się wiosny jasnej cudy...
Babiego lata nic się mota –
rozsnuwa przędzie marzeń... złudy...

Czyż to już jesień!... Wczoraj jeszcze
poprzez kwitnące szliśmy sady,
chłonąc narodzin życia dreszcze.
Wczoraj... Okwitły wonne liście,
smutkiem się znaczą wiosny ślady,
na które proszą złotem liście...
Więc to już jesień...

Red. Dziękujemy Redakcji „Wiadomości Oławskich” za zgodę na przedruk poniższego tekstu.

Wioletta Kamińska

Zmienia słomę w złoto

Od dziecka z zachwytem patrzyła na słomę. Agnieszka Jedynek z Biskupic Oławskich jest jedyną osobą w powiecie oławskim, która ze słomy potrafi wyczarować niemal wszystko.

– Kielich mszalny zdobiący wieniec dożynkowy to pierwsze dzieło Agnieszki Jedynek, które zobaczyłam – mówi Iwona Skwarek z Dolnośląskiego Ośrodka Doradztwa Rolniczego. – Byłam przekonana, że jest metalowy. Tak pięknie mienił się w słońcu. Nawet się zdziwiłam, że taki delikatny wieniec wytrzymuje ciężar metalowego kielicha. Kiedy podeszłam bliżej, okazało się, że jest ze słomy. To niesamowite, jak pięknie i z niezwykłą precyzją wykonany. Jeszcze większe wrażenie zrobiły na mnie inne prace pani Agnieszki. np. orły. Ich pióra iskrzą jakby były ze złota.

Tak reaguje większość osób, które mają okazję zobaczyć prace pani Agnieszki. Ona sama nie lubi się chwalić i raczej niechętnie wystawia na pokaz swoje dzieła.

Agnieszka Jedynek ma 74 lata. Do Biskupic Oławskich przyjechała w roku 1945, z mamą i siostrą, transportem z Dunajowa w województwie lwowskim. Miała wtedy 9 lat. – Od dziecka chodziłam w pole pomagać w żniwach – opowiada. – Zawsze z zachwytem patrzyłam na słomę. Tak mi się podobała. Miała taki cudny kolor. Nieraz mawiałam, że złoto leci z maszyny. Inni się uśmiechali, ale dla mnie słoma była i jest piękna. Zbierałam co ładniejsze źdźbła i chowałam do fartuszka. Dzisiaj trudno o taką. Jest na wagę złota.

Swoje manualne zdolności ujawniła przed laty, robiąc dekoracje z papieru – najpierw dla lokalnego klubu i na szkolne przedstawienia, a z czasem na wiejskie uroczystości. Spod jej rąk wychodziły marzanny, strachy na konkurs „Kolorowe wsie” i wieńce dożynkowe. – Raz przez całą noc robiłam słomianego chłopaka na konkurs dla Koła Gospodyń Wiejskich – wspomina. – Gdy go wieźli przez wioskę, wystawał wysoko nad wozem i uśmiechał się do wszystkich. Była też marzanna.

Nowoczesna, jak na tamte czasy. Miała piękne włosy z kłosów słomy i kolczyki z plecionki. Tak się narodził pomysł, żeby tworzyć bardziej precyzyjne i wymagające słomiane ozdoby. Technikę opracowała sama, metodą prób i błędów.



Pani Agnieszka Jedynak przy swoich wyrobach ze słomy

Podstawą każdego dzieła jest słoma. Musi być zebrana o odpowiedniej porze i dobrze przygotowana. – Nie każde źdźbło się nadaje – mówi. – Trzeba ją zbierać przed żniwami, gdy zboże jest już dojrzałe, ale jeszcze nie jest przesuszone. Taką słomę obrabia się najlepiej.

Najpierw przygotowuje się wzór z papieru. Następnie przecina słomę pod odpowiednim kątem i obkleja papier. Do wyrobu plecionych wzorów trzeba słomę wcześniej namoczyć. Najbardziej pracochłonne są elementy płaskie. Do tego najlepsza jest słoma owsiana. Odcina się kolanka. Następnie przecina słomkę na pół, moczy i prasuje. Tak przygotowaną trzeba przyciąć i dopasować do wzoru.

Agnieszka Jedynak ma w domowej kolekcji słomiane szkatułki, kielichy mszalne, orły, dzbany na kwiaty, widokówki, motywy roślinne, a także krzyżyk i bożonarodzeniową szopkę. Niektóre z tych słomianych cudeniak mają 20, a nawet 30 lat. Artystka bardzo o nie dba i dobrze pilnuje, by nie uległy zniszczeniu. – To mój skarb i muszę o niego dbać, bo któż to zrobi lepiej niż ja? – mówi z uśmiechem. – Wiele z tych rzeczy było elementem wieńców dożynkowych, ale są też takie, które zrobiłam dla siebie, bo nagle coś wpadło mi do głowy. Do dzisiaj tak mam. Nagle zaczyna mi kiełkować pomysł na jakąś słomiankę i jak już się pojawi, to siedzi dopóki go nie zrealizuję. Dziś to trochę trudniejsze niż kiedyś, bo ręce pokrzywione i choroba doskwiera, ale to, co siedzi w głowie, jest silniejsze od przeciwności losu. Od pewnego czasu przychodzą do mnie dzieci, które uczyć słomianego kunsztu. Bardzo się cieszę z tego, że rosną moi następcy. Dzisiaj trudno zachęcić młodych do takich zajęć.

Prace Agnieszki Jedynak znalazły się w pierwszej części Katalogu Produktów Lokalnych Powiatu Oławskiego, wydanym przez Stowarzyszenie „Lokalna Grupa Działania Starorzecze Odry” z siedzibą w Oławie. Niektóre można było zobaczyć na wystawie towarzyszącej wiejskiej wigilii w Biskupicach Oławskich, a także na grudniowej wystawie w Urzędzie Miasta i Gminy Jelcz-Laskowice.

Red. Ciekawy tekst historyczny znaleziono na łamach „Przyjaciela domowego”. Poniższy fragment pochodzi z trzech numerów czasopisma – z 7, 14 i 21 stycznia 1854 r. Zachowano oryginalną pisownię.

Pamiętniki miasta Glinian i okolic jego

(Z manuskryptu Xiędza Dodolskiego, proboszcza tamecznego)

Założenie Glinian

Gliniany, miasteczko w obwodzie Złoczowskim, cztery mile ode Lwowa położone, zawdzięcza swoje założenie Władysławowi Jagielle, królowi polskiemu. Na mocy przyzwolenia tego monarchy rozkazał Jan Tarnowski, wojewoda Sandomierski, starosta Ruski, w miejscu, gdzie mizerna wioseczka Gliniany istniała, sto łanów wymierzyć, które przeznaczając na założenie miasta, rzekł: że to ma się nazywać Czasburg, życząc, aby ta nowa osada jak piękna latorośl silnie się rozrastała. Działo się to w roku 1307 [1].

Pomimo przez pomienionego wojewodę nadanych wolności i przewilejów, miasto Czasburg wznosiło się bardzo powoli, raz dla częstych inkursji nieprzyjacielskich, powtórnie dla miejsc błotnistych, zarośli i lasów. Wszelakoż musiał stanąć na prędcie zamek drewniany na sposób Lwowskiego, albowiem już w roku 1416, jako też 1424 przebywał w nim król Władysław Jagiełło, zjeżdżając doń na łowy. Starostowie Lwowscy starali się też odtąd ów zamek, jako też i nowo założone miasto według ówczesnych zwyczajów obwarować, obwodząc je wysokimi wałami od wschodu, od północy zaś głębokimi fosami, wpuszczając do nich obficie wodę z pobliskich moczar [2].

Roku 1501. rozkazał Stanisław de Chodecz, starosta Lwowski te wały o wiele podnieść, których szczątki do dziś dnia przetrwały. Zajmują one obok ogrodu probostwa przestrzeń 88 sążni, wynosząc od spodu fosy aż do szczytu 12 sążni wiedeńskich wysokości, Co do robót przy tej warowni – kopania fos i usypywania wałów, do tego używani byli jeńcy wojenni. Zygmunt I. otrzymawszy bowiem od Stanisława z Chodza, marszałka W. koronnej wiadomości o zwycięstwie nad Tatarami, a oraz i jednego brańca tatarskiego, napisał do niego pomiędzy innymi z Krakowa d. 19 Maja 1512, aby złoczyńców zamiast karać śmiercią, do robót przeznacząć.

Ubezpieczenie miasta Glinian na sposób twierdzy

Obwarowanie Glinian na sposób twierdzy, uzupełnionem zostało w krótkim czasie po założeniu tego miasta, i tak trwale, jak rzadko widzieć można które miasto na Rusi. Obwiedzione wałami nadzwyczajnie wysokimi, po pod które z dwóch stron – północnej i zachodniej głębokie pełne wody ciągnęły się fosy, ubezpieczono je nadto wewnątrz dębowymi parkanami, na które okoliczne lasy drzewa dostarczały. Do wnijscia w miasto znajdowały się tylko dwa wchody, a temi były mosty zwodzone nad przepaścią fos, u których wznosiły się potężne bramy z basztami, zawierające budynki mieszkalne, tak zwane kurdygardy, przeznaczone dla straży, mającej powinności baczenia na to, kto i z czem wchodził do miasta, jako też odbieranie ceł. W nocy podobnie jak we wszystkich twierdzach, wszelki wstęp do miasta był zabroniony [3].

Nadto istniał w Glinianach zaraz nad fosą zamek królewski, którego dozór był powierzony rotmistrzowi. Pod tego zarządem stała też

i straż miastowa, bez której wiedzy nikt o nie przyzwoitym czasie ani do miasta, ani do zamku nie mógł być wpuszczony.

W zamku królewskim w zabudowaniach odosobnionych, mieszkali urzędnicy dworu królewskiego, wyżsi i niżsi, zwłaszcza, gdy Władysław Jagiełło, miłośnik polowania na tę ulubioną rozrywkę zjeżdżał, jak następnie i inni królowie z innych przyczyn.

Dwór królewski składał się wtedy z podkomorzego, podsędka, podstolego, cześnika, krajczego, chorążego, koniuszego, kuchmistrza, oboźnego, trukczaszego, podkoniuszego, łowczego, wojskiego, nadto sekretarzy, jurgeltników, komorników, pisarzy skarbowych i ziemskich, w ostatku z służby królewskiej: pokojowych, odzwiernych, kredenserów, kucharzy, stanowników, owsianych, spiżarnych, piwnicznych, szafarzy, muzyków, trębaczów, bębenistów, myśliwych, czeladzi stajennej, czeladzi oboźnej, hajduków i alabardników. Często się zdarzało, że wszyscy ci urzędnicy nie mieli w zamku miejsca, więc lokowano ich w oddaleniu jego: po okolicznych zamkach szlachty, lub też po gospodach.

Zamek ów istniał jeszcze w roku 1768, którego gubernatorem ostatnim był Piotr Wojaczyński. Często uszkodzony przez najeźdnicze hordy, naprawiany bywał staraniem królewskim, upadł nareszcie w gruzy jak wszystko, co niegdyś ręką ludzką było wzniesione.

Fundacja kościoła w Glinianach

Fundacja kościoła Gliniańskiego po Lwowskim Archikatedralnym i Kulikowskim, najdawniejszą jest na Rusi Czerwonej, sięga bowiem czasów Jagiełły. Zaraz po założeniu Glinian, znalazł się tamże zakonnik klasztorny (*peregrinantum fratrum*), imieniem Jakób, który pierwszy przyszedł w owo lesiste ustronie, by pomiędzy ludem, będącym wyznania wschodniego, słowo Boże opowiadać, a którego zobaczywszy Władysław Jagiełło, miał go powitać temi słowy: „Benedictus qui venit in nomine domini [*Błogosławiony, który idzie w imię Pańskie*].

Gorliwy ów wiekopomny król o rozkrzewienie wiary katolickiej, rozkazał w roku 1397 wystawić kościół pod tytułem Ducha św., na którego, jako też kapłana utrzymanie, na wieczne czasy fundusze wyznaczył, „omnes decimas post oraturas nostras in Hay et Prognojów. Insuper donavius duos mansos decimas agrorum etc (wszystkie dziesięciny po naszych wystąpieniach w Hay [*nieznana miejscowość, zapewne zniszczona przez najazdy – dop. J.W.*] i Prognojowie [*Przegnojowie – dop. J.W.*].

Ponadto donavius dał dwie dziesiąte ziem itp.). Nadał także czynsz z cła miastowego: od każdego wozu po 10 tołpek soli, z cła grobelnego trzeci kołacz (bochen chleba), ustanawiając nadto, ażeby wszyscy „et singuli agricultores in Gliniany et ejus sub orbi” [i każdego rolnika w Glinianach i jego podświecie] z każdego łanu kłode żyta, i kłode owsa kościołowi oddawali, dodając do tego jeszcze wolny wręb, wolne mlewo, i wolne pastwisko.

[1] Rękopis Nr. 5, „Rejestr przewilejów najjaśniejsi. królów polskich, spisany w r. 1717.

[2] (Dosłownie z oryginału łacińskiego przetłumaczone). „My Jan z Tarnowa, wojewoda Sandomierski, starosta Rusi etc. Przeto, ażeby to miasto czem prędzej mogło się ustawić, rozłożyć, wszystkim mieszczanom i mieszkańcom w rzeczonym mieście umieszczonym i mającym się ustawić, od wszelkiego płacenia, umów, układów wszelkich, pod jakimkolwiek nazwiskiem z domów, siedlisk, placów próżnych, do lat 10: z roli, okolic, gdzie nie było wyrównań, lat 8; w moczarach, zaroślach, czyli lasach, gdzie jest korczowanie, lat 16, zupełną i wcieloną wolność dajemy. Po upłynieniu tej wolności, z każdego zwania, z powodu czynszu Królowi Panu i jego następcom w dzień św. Marcina Wyznawcy, każdego roku 8 półtoraków i dwie miar owsa, dwie kur, 12 jaj oddawać są obowiązany. Nadto po wyjściu pierwiastkowej wolności za dziesięcinę, czyli z powodu dziesięciny biskupiej 3 półtoraków groszy wypłacać.”

Działo się w Glinianach, zaraz po Święcie Św. Stanisława Męczennika, miesiącu Maja, roku wcielenia Pańskiego 1307, w obecności urodzonych mężów etc. etc.

[3] Pomimo życzenia założyciela, aby ta nowa założona osada, mająca się wznieść do świetność miasta znacznego, zwaną była Czasburg, nieprzyszło to jednak do skutku, pozostała przeto jej pierwotna nazwa od mizernej wioski Gliniany, nadana zaś poszła zupełnie w zapomnienie.

Na portalu www.onb.ac.at, a także w zbiorach Biblioteki Jagiellońskiej znajdują się skany „Kuryera Lwowskiego”. Wypisano z nich wydarzenia związane z pow. Przemysłany i kilka ciekawostek. Zachowano oryginalną pisownię.

Wydarzenia z powiatu Przemysłany podane w *Kurjerze Lwowskim* (cz. VIII)

W Pniatynie (pow. Przemysłany) zgorzał 15. bm. dom, mieszczący kancelarię gminną. Przy ratowaniu odniosło silne poparzenia twarzy czterech tamtejszych włościan. (18.02.1898 r.)

* * * * *

Piękna perspektywa. Pewien statystyk angielski obliczył, że w przeciągu 400 lat będą w Europie sami warjaci. Rozumowania swoje opiera on na takiej zasadzie: Przed 40 laty przypadał na 535 osób jeden obłąkany, dziś zaś stosunek ten zmienił się o tyle, że już na każde 312 osób przypada jeden z tych nieszczęśliwych. Jeśli choroba umysłowa nadal wykaże takie same postępy, wówczas po upływie 80 lat będzie w Europie jeden obłąkany na 100 osób, po upływie 200 - 300 lat jeden na 10 osób, aż wreszcie za lat 400 będą już tylko sami warjaci. (18.02.1898 r.)

* * * * *

Konkurs rozpiisał wydział pow. w Przemyslanach na posadę lekarza okręgowego z siedzibą w Świrzu. Lekarz okręgowy pobierać będzie płacę z funduszu pow. rocznie 500 zł., ryczałt na koszty podróży ustanowiony przez Wydział krajowy rocznie 240 zł. i datek gminy Świrza rocznie 100 zł. Podania należy wносить do 1. maja do wydziału Rady powiatowej w Przemyslanach. (3.03.1898 r.)

* * * * *

Wydział szkolny we Lwowie zamianował Bazylego Kebałę nauczycielem kierującym w Rozworzanach. (5.03.1898 r.)

* * * * *

Pożar. Z Glinian donoszą nam 8. bm.: W Glinianach 7. bm. o godz. 12 w nocy wybuchł pożar, który zniszczył na przedmieściu Zastawie 5 zagród włościańskich. Ze strachu jedna dziewczyna umarła, a jedna kobieta, lat około 45, dostała obłądu. (10.04.1898 r.)

* * * * *

Tragiczne wypadki z dziećmi, pozostawionymi bez dozoru zdarzyły się w bm. w Podusilnej pow. Przemysłany. D. 5. kwietnia br. w chacie zarobnika Marcina Hrywnaka udusiło się dwoje dzieci w wieku 2 i 5 lat. Marcin był na zarobku 20 centowym, żona zaś poszła do spowiedzi. Dzieci same były w domu. Zapaliły prawdopodobnie przedziwo na piecu, wskutek czego wytworzył się dwutlenek węgłowy i dwoje dzieci się udusiło, zalazłszy pod ławę.

D. 12. bm. na samą Wielkanoc w pokoju p. N. Bachmana, podczas jego nieobecności zastrzelił parobek Dmytro Cap syna p. Bachmana. Dmytro przyszedł do swej kochanki a z nią do pokoju, gdzie wisiała strzelba. Nie wiedząc czy strzelba nabita, jednym wystrzałem położył chłopca trupem. Śledztwo w obu wypadkach w toku. (13.04.1898 r.)

* * * * *



Dwie strony psiego numerku z powiatu przemysłańskiego. Fotografie odnalazł i przesłał p. Igor Megger

Ruch emigracyjny. W powiecie przemysłańskim krążą wśród ludu wiejskiego pogłoski, że szlachta turecka w Bośni sprzedaje swoje posiadłości ziemskie po 30 zł. za morg i przenosi się do Turcji. Ci, którym bieda z każdym rokiem coraz więcej daje się we znaki w rodzinnym kraju, zachęteni okolicznością stosunków bośniackich, mają zamiar pozbyć się swoich gruntów, których wartość jednego morga przedstawia 200—300 zł., zakupić grunta w Bośni i tam osiąść. Ze wsi Biłki pojechało już kilku gospodarzy do Bośni, celem przekonania się o wartości i jakości tamtejszej gleby. (21.04.1898 r.)

* * * * *

Wydział krajowy przyznał wydziałowi powiatowemu w Przemyslanach bezzwrotny zasiłek na budowę drogi Przemysły-Sołowa. (8.05.1898 r.)

* * * * *

Z Przemysłyńców donoszą nam: Nowomianowany tutejszy starosta p. Pietruski, wezwawszy onegdaj gminną zwierzchność do siebie celem omówienia ważnych spraw gminnych, przyjął ją bardzo szorstko. W odpowiedzi na to burmistrz i 20. tamtejszych radnych tutejszemu starostwu nadesłało swe rezygnacje. (2.06.1898 r.)

* * * * *

W ostatnich czasach założono nowe Kółka rolnicze m.in. w Unterwalden pow. przemysłańskiego. (3.06.1898 r.)

* * * * *

Z Glinian otrzymaliśmy następujące pismo: Wyczytawszy notatkę, że przy szkonce tutejszej kasy podatkowej znaleźć miano banknot fałszywy, donosimy że żadnego szkonce kasy nie było, u banknot dziesięcioguldenowy, o którym mowa, zakwestjonowany został przez kasjera u jednego z kontrybuentów podatkowych, przeto w kasie wcale się jeszcze nie znajdował. C.k. urząd podatkowy (podpisy nieczytelne). (4.06.1898 r.)

* * * * *

Rocznica Mickiewiczowska. Gliniany 2. czerwca. Uroczyste nabożeństwo odbędzie się 5. bm., o godz. 10. rano, w tutejszym kościele parafjalnym. Przed nabożeństwem, o godzinie 7. rano, pobudka. Po południu po niesporach przemówi kierownik szkoły miejscowej p. Ligęza Franciszek, poczem nastąpi rozdanie pomiędzy lud broszurek o Mickiewiczu. (5.06.1898 r.)

* * * * *

Starosta przemysłański p. Pietruski rozwiązał Radę gminną w Glinianach. Komisarzem rządowym zamianowany p. Rojek. b. komisarz rządowy w Delatynie. (15.06.1898 r.)

* * * * *

Przemysłańscy 14. czerwca. Dla uczczenia setnej rocznicy urodzin wieszczka (Adama Mickiewicza) odbędzie się u nas 19. bm. w sali kasyna uroczysty wieczór. W program wchodzi: słowo wstępne, śpiewy, deklamacja, przedstawienie „Spowiedź Jacka”, a zakończą żywe obrazy. Komitet dokłada starań, aby wieczór wypadł jak najwspanialej. (17.06.1898 roku)

* * * * *

Gliniany 12. czerwca 1898. I my w małym naszym miasteczku obchodziliśmy, choć skromnie, ale uroczysto jubileusz mickiewiczowski. Dnia 5. b.m. wczesnym rankiem wystrzały z moździerzy i pobudka miejscowej kapeli, odgrywająca narodowe pieśni, zwiastowała uroczystość. O godz. 10. rano odbyło się nabożeństwo dziękczynne, które odprawił ks. kan. Wierzchowski przy asyście ks. gwardjana OO. Kapucynów z Kutkorza i ks. kat. Szlęzaka. Patriotyczne kazanie wygłosił ks. kan. Puchalski z Wyźnian, podnosząc przymioty narodowego wieszczka, oraz zaznaczając, że życzenie Mickiewicza, by jego księgi zbłądziły pod strzechy już się spełnia, gdyż lud polski zwłaszcza Mazurzy, przyszedłszy do świadomości narodowej i garnąc się do oświaty, kształcą swe umysły i serca na dziełach nieśmiertelnego wieszczka. Podniosły był widok gdy po kazaniu inteligencja razem z ludem klęcząc odśpiewała „Boże coś Polskę” i „Boże Ojczyźnie”, podczas tego śpiewu nawet u ludzi na pozór zimnych łzy widziano.

Po nabożeństwie bardzo pięknie przemówił p. Ligęza a komitet rozdał pomiędzy zebranych zwyż 200 sztuk broszurek i portretów wieszczka, 40 kilka zlr. zebranych podczas nabożeństwa, uchwalił komitet odes-

łać w całości na fundusz budowy szkół im. Mickiewicza, a wydatki jakie z obchodem połączone były, pokryli członkowie komitetu z własnej kieszeni.

Jako dalszy ciąg uroczystości mickiewiczowskiej odbędzie się tu staraniem szkół fund. br. Hirsza i etatowej poranek instrumentalno-wokalny z bardzo obfitym programem. (18.06.1898 r.)



Kartka pocztowa
Pozdrowienie
ze Świrza
nieznanego
wydawnictwa.
Zdjęcie sprzed roku
1914 przedstawia
wejście do zamku.
Źródło: Allegro.pl

Przeładowa wystawa bydła i koni z powiatu przemysłańskiego odbyła się w ubiegłą sobotę w Glinianach na targowicy miejskiej pod przewodnictwem prezesa Rady pow. hr. Franciszka Potulickiego, właściciela Glinian. Obecny był także inspektor chowu bydła p. Kazimierz Fedorowicz. O wystawie tej donoszą nam z Glinian. Na plac wystawy przystawiono bydło z gmin: Wyżniany, Rozworzany, Przegnojów, Połonice, Zamoście, Gliniany, Krzywice i Unterwalden. Koni przyprowadzono około 60 sztuk, bydła 145. Jury dla bydła składali: wiceprezes przemysłańskiej Rady pow. p. Roman Wybranowski jako przewodniczący: pp. ks. kanonik Raczyński, Zdzisław Younga, Adam Treter, Stanisław Burliga i Stefan Harbuz jako członkowie. Premiowano 24 okazów w kwocie 145 zł z subwencji rządowej. Komisję dla premjowania koni składali pp.: Władysław hr. Potulicki, ks. Raczyński, Younga, Zdziarski, Harbuz. Premjowano 17 sztuk w kwocie 130 zł. z funduszu stałego powiatowego. Najwyższą nagrodę, bo 30 zł. otrzymał za konia gospodarz z Wyżnian, Paweł Goj. (18.06.1898 r.)

* * * * *

Z Glinian donoszą nam: D. 15. b.m. w nocy został budnik Paweł Kettner przejechany przez pociąg między Zadwórzem a Barszczowicami. (19.06.1898 r.)

* * * * *

Gliniany 30. czerwca. Szkoła ludowa fundacji barona Hirscha urządziła tu 23. czerwca o g. 6 wieczorek muzykalno-wokalny ku uczczeniu setnej rocznicy urodzin Adama Mickiewicza. W obszernej, pięknie przystrojonej sali zjawiała się publiczność w tak znacznej liczbie, że ledwo mogła się pomieścić. Wieczorek zagaił przemową p. Ligęza, w której pięknymi słowami skreślił działalność i znaczenie Mickiewicza dla narodu. Z obfitego programu podobała się szczególnie deklamacja Hełczyńskiej, uczennicy szkoły etat. („Powrót taty”), kantata do słów Rossowskiego, muzyka M. Signio, odśpiewana przez chór dziatwy szkoły f. b. Hirscha pod kierownictwem p. D. Senensiba i „Legenda” Wieniawskiego, odegrana przez J. Wolfa, ucznia szkoły fundacyjnej. W odczycie scharakteryzował p. Lip-pa, kierownik szkoły f. b. Hirscha nowy kierunek zainaugurowany przez Adama Mickiewicza i zakończył temi słowami: „Przez założenie towarzystwa oświaty ludowej im. Mickiewicza, utrwalimy więcej rocznicę, niż przez najświetniejsze obchody”. Wieczorek zakończył p. Rojek, tutejszy komisarz rządu. (4.07.1898 r.)

Obszarnik i Polak do tego. Naczelnikiem gminy o ludności przeważnie ruskiej, to rzadkość wielka, którą warto zanotować. Otóż p. Letyński Leon, właściciel dóbr Tuczna w pow. Przemyślańskim, został świeżo wybrany wójtem Tuczna. Gmina to znaczna, licząca blisko 2000 mieszkańców, przeważnie Rusinów. W radzie gminnej, która p. Letyńskiego swoim naczelnikiem wybrała, zasiada większość radców ruskich. Wybór odbył się jednogłośnie, mimo wrogiej agitacji proboszcza gr. kat. Ale też p. Letyński od lat pracuje bezinteresownie dla dobra gminy. (31.07.1898 r.)

* * * * *

Wymordowanie rodziny żydowskiej, z Przemyślan donoszą 4. bm.: Na doniesienie żandarmerji, że w karczmie w Przychodach wymordowano całą rodzinę żydowską, natychmiast zjechała komisja z sędzią śledczym i zastała w karczmie cztery trupy, a jedną dziewczynę jeszcze żywą, ale już w agonii. Karczmarz, Hersz Haber, staruszek, leżał w łóżku ze złożonymi na piersiach rękami, z ogromną raną na głowie, jak się zdaje nie przebudził się po uderzeniu i zaraz skonał. Jego córka zameżna, uderzona również we śnie, miała jeszcze tyle siły, że dźwignęła się nieco

i oparła głowę o ścianę. Tak też zastała ją komisja. A koło niej dziecię, zdaje się uduszone, gdyż nigdzie ni śladu uderzenia, leżało w poprzek łóżka, nóżką dotykając kolebki. W trzecim łóżku były dwie dziewczynki, jedna nieżywa, druga jeszcze dysząca, ale bardziej podobna już do trupa niż do człowieka. Mimo podawania jej wina i kofeiny, nie mogła przyjść do siebie, ani udzielić wyjaśnień. Ludzie, którzy donieśli o wszystkim żandarmerii, szli rano w pole na żniwa. Karczma o tej porze zawsze otwarta, stała dziś zamknięta, tylko w stajni słychać było ryk zgłodniałej krowy. Zdziwieni, popatrzyli w okno, a ujrawszy krew na jednym i drugim łóżku, weszli przez okno, gdyż drzwi były zamknięte, do środka. Zobaczywszy, co się tu stało, dali znać żandarmom. Zdaje się, że spełniono zbrodnię w celu rabunku. Przeszukiwali rzeczy, zostawili je jednak na miejscu, widocznie szukali pieniędzy. Zdaje się, że nie byli to ludzie miejscowi.

* * * * *

„Gazeta Lwowska” donosi: „Karczma »Przychody«, w której popełniono morderstwo, oddalona jest o milę od Przemyśla w kierunku Lwowa i znajduje się obok gościńca rządowego. Zbrodnię popełniono około północy, a ofiarą jej padli: karczmarz 80-letni Hersz Haber, dalej Pesia Brandwein, 24-letnia mężatka, bawiąca u Habera w gościnie, wraz z 8-miesięcznym swym dzieckiem, chłopakiem, jeszcze przy piersi, któremu zbrodniarze również nie darowali życia, oraz dwoje dziewcząt: Sura Verschleisser w wieku lat 12 i Beila lat 8. Sura Verschleisser, choć nieprzytomna, żyje jeszcze. Hersz Haber był człowiekiem ubogim i w okolicy ogólnie lubianym. Krwawego czynu dopuszczono się prawdopodobnie lusznią od wozu, którą zakrwawioną znaleziono porzuconą we wnętrzu karczmy. W izbach, w których zastano ciała pomordowanych, porzucane są na podłodze portmonetki i rozbita flaszka wódki. Podejrzenia o popełnienie zbrodni zwracają się przeciw trzem przechodniom, nieznanym włóczęgom, których nad świtaniem miano w dniu morderstwa widzieć, jak z jednego lasu przechodzili, w pewnym oddaleniu od karczmy, do drugiego. Krwawy czyn spełniono prawdopodobnie w celu rabunku, a dopuścili się go widocznie obcy ludzie, bo w okolicy wiedziano ogólnie, że Hersz Haber i rodzina jego są ubodzy. Komisja sądowa zjechała na miejsce i prowadzi dochodzenia”.

* * * * *

5. bm. donoszą z Przemyślan: Zwłoki czterech zamordowanych ofiar przewieziono do Przemyślan w celu dokonania sekcji. Dziewczyna,

która przy życiu pozostała, ma czaszkę w kilku miejscach pękniętą. Stan groźny, przytomności jeszcze nie odzyskała. Zostawiono ją na miejscu i oddano pod dozór zakonnicy. Dziś rano przybył ze Lwowa agent policyjny Spang, popołudniu, rozeszła się w mieście wiadomość, że dwóch sprawców już ujęto, trzeci zaś uciekł. Mają to być chłopci z sąsiedniej wsi Łahodów. (7.08.1898 r.)

* * * * *

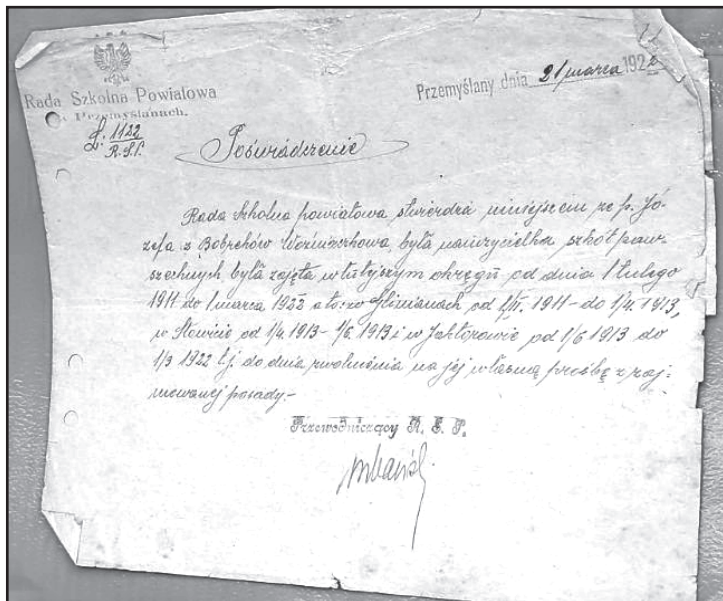
Z Przemyślan donoszą, że aresztowano tam trzech ludzi, podejrzanych o dokonanie morderstwa na arendarzu Haberze. Są to wyrobnicy: Andruch Mochnacki (lat 30), Michał Zawrotny (lat 36) i Jurko Marszałek (lat 37). Poszlaki przeciw nim silnie, aczkolwiek chcą wykazać swoje alibi. Z Haberem żyli w niezgodzie, a u Mochnackiego odkryto plamę krwi na koszuli.

Starosta przemyślański Pietruski zażądał od dyrekcji policji we Lwowie pomocy dla wytropienia zbrodniarzy. Wysłano tam agenta policji Spanga. Beila, siostrzenica zamordowanego arendarza żyje, a lekarze mają nadzieję utrzymania jej przy życiu. (11.08.1898 r.)

* * * * *

Morderstwo w Przychodach. Z Przemyślan piszą: W karczmie, która była widownią morderstwa, a której jedna izba jest sądownie zapieczętowana, leży w drugiej izbie jedna z ofiar, ciężko ranna i cudem prawie ocalona 12-letnia Pesia Verschleisser, doglądana z iście podziwienia godnym zaparciem przez siostry tutejszego szpitala. Wielce przyczynił się do ocalenia tej dziewczyny naczelnik tutejszego sądu, dr. Dawidowicz, który z własnego popędu codziennie rano i wieczór odwiedza chorą i troskliwie się nią opiekuje. Może uda się przy takiej troskliwej opiece ocalić ofiarę mordu, a wtedy całe śledztwo sądowe będzie o wiele łatwiejsze. Chora mającymy, trudno ją jeszcze męczyć pytaniami a zachodzi również obawa, czy otrzymane 10 ran w głowę i podwójne pęknięcie czaszki, nie wywołała osłabienia władz umysłowych nieszczęśliwej. (13.08.1898 r.)

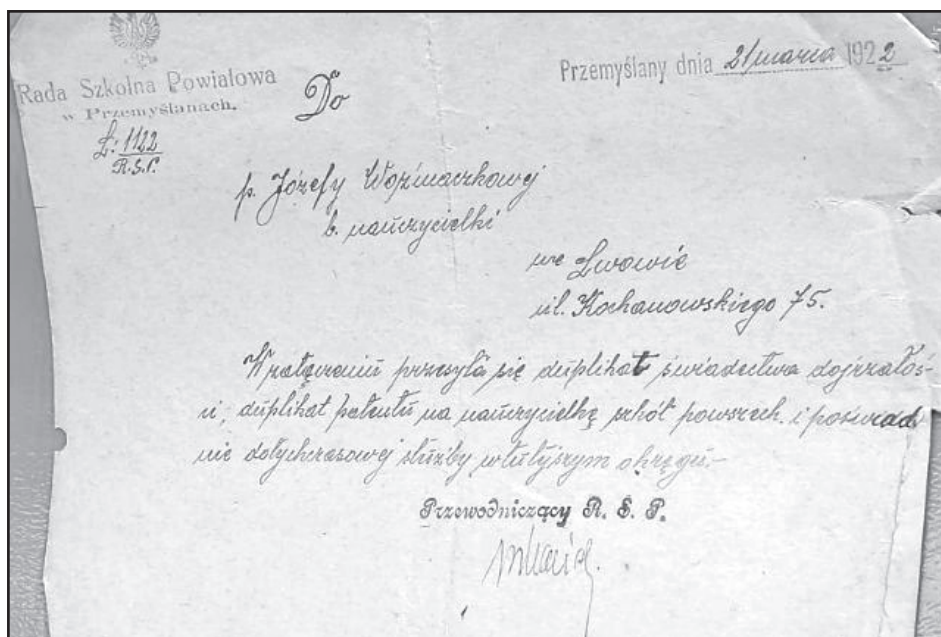
* * * * *



Zaświadczenie wydane Józefie Woźniaczkowej przez Radę Szkolną Powiatową w Przemyślanach. Treść: *Przemyślan, dnia 21 marca 1922 r. Rada Szkolna Powiatowa stwierdza niniejszym, że p. Józefa z Bobrochów Woźniaczkowa była nauczycielką szkół powszechnych, była zajęta w tutejszym okręgu od dnia 1 lutego 1911 do 1 marca 1922, a to w Glinianach 2/II 1911 - 1 IV 1913, w Słowiczu od 1/4 1913 - 1/6 1913 w Jaktorowie od 1/6 1913 do 1/3 1922, tj. do dnia zwolnienia na jej własną prośbę z zajmowanej posady.*
Przewodniczący (podpis nieczytelny)

Morderstwo pod Przemyślanami. Piszą nam z tamąd: „Po wyposzczenia na wolność podejrzanych Mochnackiego i dwóch innych chłopów z Łahodowa, przytrzymała żandarmerja trzech Żydów, Majera Korna z Przychodów, oraz Mendla Korna i Mechla Schreibera z Przychodów. Delegowany przez trybunał sądu obwodowego w Brzeżanach, sędzia śledczy radca Siengalewicz, znany z energii i sprężystości, tudzież rutyny kryminalistycznej, po dokładnem dochodzenia poszlaków względem Korna i towarzyszy, uznawszy ich przytrzymanie za bezpodstawne, albowiem wykazali alibi przesłuchaniem 7 świadków, wypuścił ich dziś na wolność.

Natomiast przedsięwziął sam naoczne oględziny miejsca popełnienia zbrodni i wybadawszy Majera Brandweina, męża zamordowanej, w czasie popełnienia zbrodni pełniącego służbę wojskową we Lwowie – wpadł na trop domniemanego sprawcy Jurka Nowogrodzkiego z Przychodów, który często bywał w karczmie Habera, znał rozkład lokalu a i osoby, z którymi w razie zamachu miałyby się liczyć. Jurko Nowogrodzki jako podejrzany, pozostaje w areszcie śledczym, zaprzecza wszystkiemu, ważne jednak poszlaki zdają się przeciw niemu przemawiać, Śledztwo całe otoczone jest ścisłą tajemnicą urzędową i tylko powyższe szczegóły przedostać się mogły do wiadomości szerszej. Wszelkie pogłoski, jakoby którykolwiek z poprzednio podejrzanych był się przyznał, są zmyślane i fałszywe”. (21.08.1898 r.)



Pismo wysłane przez Radę Szkolną Powiatową w Przemyslanach do Józefy Woźniaczkowej. Treść: Przemysłany dnia 21 marca 1922. Do p. Józefy Woźniaczkowej we Lwowie, ul. Kochanowskiego 75. W załączeniu przesyła się duplikat świadectwa dojrzałości i duplikat patentu na nauczycielkę szkół powszechnych i powiadomienie dotychczasowej służby na tutejszym okręgu. Przewodniczący R.S.P. (podpis nieczytelny)

Z Przemyślan doniesiono nam niedawno o popełnionemu na pięciu członkach rodziny okolicznego karczmarza morderstwie, którego rzekomo miało dokonać trzech barabów. Ludzi tych uwięziono. Pokazało się jednak, że sprawca był kto inny. Gdy mianowicie komendant posterunku żandarmerji w Przemyślanach, wachmistrz Łuczyński przybywszy w tych dniach do Lwowa, opowiedział o wyniku dochodzeń rewizorowi lwowskiej policji Przestrzelskiemu, wpadł tenże Przestrzelski na domysł, że morderstwo popełnił sąsiedni karczmarz Majer Korn.

Po przeprowadzonym w tym kierunku śledztwie, przekonano się, że obydwaj karczmarze żyli z sobą dłuższy czas w niezgodzie, że morderstwo popełnił rzeczywiście karczmarz Majer Korn wspólnie z bratem swoim Mendlem Kornem. Znaleziono u nich skrwawiony rękaw koszuli i scyzoryk o skrwawionym ostrzu tak szerokim jak rany zalane scyzorykiem zamordowanej córce karczmarza, Majera Korna który tak dalece potrafił zmylić czujność władz, że był używany do pomocy przy śledztwie, jak również brata jego Mendla aresztowano. (17.08.1898 r.)

* * * * *

Protest nauczycieli. Piszą nam z Glinian 22. bm.: Zgromadzeni tu na konferencji nauczyciele ludowi 7. okręgu sądowego gliniańskiego, uchwalili jednogłośnie wysłać deputację z pięciu nauczycieli (3 Polaków, 1 Rusin, 1 Żyd) do namiestnika hr. Pinińskiego i do p. Dobrzyńskiego z odwołaniem napaści, głoszonych przez niektóre pisma, jakoby inspektor szkolny, Witoszyński Włodzimierz z Przemyślan, nauczycieli i nauczycielki, narodowości polskiej prześladował, a ruskich niezastępowanie protegował. S. (24.09.1898 r.)

* * * * *

Rada szkolna krajowa zamianowała: Jakima Ulmiańskiego w roli kierownika szkoły w Lipowcach, Stefana Kretowa w Turkocinie i Leontynię Wertyporochową w Laszkach Królewskich – jako młodszych nauczycieli. (19.11.1898 r.)

* * * * *

Rada powiatowa w Przemyślanach uznając pożyteczną działalność „Rodziny” przystąpiła do niej w charakterze członka wspierającego. (5.12.1898 r.)



Red. Dziękujemy p. dr. hab. Andrzejowi Janeczki za zgodę na powielenie artykułu, który w 2000 r. ukazał się w zbiorze „Między sobą. Szkice historyczne polsko-ukraińskie” pod red. Teresy Chynczewskiej-Hennel i Natalii Jakowenko (nakładem Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej).

Andrzej Janeczek

Między sobą. Polacy i Rusini na wspólnym pograniczu w XIV-XV w. (cz. I)

Pogranicze jako pole kontaktu

Jest niezaprzeczalną prawdą, że nigdzie nie dochodzi do wytworzenia tak intensywnych i ścisłych związków między sąsiadującymi ze sobą narodami, jak na terytoriach ich wzajemnego, bezpośredniego styku. Są to przy tym stosunki o szerokim zakresie społecznym, nie ograniczone do wąskich elit czy pojedynczych osób jak kupcy, wędrujący rzemieślnicy, podróżnicy-pielgrzymi. Pogranicze, strefa będąca konsekwencją istnienia granicy, ukształtowana jej przebiegiem, to teren szczególnie, niepowtarzalny, niepodobny do innych. To teren współzamieszkania i współżycia, żywych kontaktów społecznych i kulturowych, krzyżowania wzajemnych wpływów, komunikacji kultur, ścierania, zderzania i reorientacji wartości, zróżnicowania, wymieszania – obszar złożoności, skomplikowania, bogactwa wątków, a w następstwie ich kulturowej integracji i przetworzenia.

W przypadku średniowiecznych przodków współczesnych Polaków i Ukraińców owo miejsce wspólnego kontaktu, bliskości i obcowania leżało w dorzeczach górnego Sanu, Dniestru, Wieprza, Bugu i Prypeci, między karpacką puszcza na południu i poleskimi błotami na północy, między Małopolską na zachodzie a Wołyniem i Podolem na wschodzie. Tworzyło ono rozległe terytorium, nie ustępujące swą wielkością ościenym dzielnicom.

Nie jest to kategoria geograficzna, lecz historiograficzna, o złożonym, umownym zakresie znaczeniowym. Stanowiła ona osobną, historycznie ukształtowaną dzielnicę. Nosila różne nazwy: Ruś Halicko-Wołyńska, Ruś Halicko-Włodzimierska, Ruś Halicka, Ruś Czerwona, Ruś

Koronna, ziemie ruskie Korony, Mała Ruś, Małoruś, Galicja Wschodnia, Hałyczyna, Małopolska Wschodnia, Ziemia Czerwieńska. Każda z tych nazw ma swoją chronologię, dotyczy innej doby w dziejach tego kraju, ma różny odcień znaczeniowy. Część z nich ma charakter nazw sztucznych, „wymyślonych”, pozaźródłowych, jest zabarwiona politycznie. Były stosowane w różnych epokach i z różnymi intencjami, nie mają charakteru ponadczasowego i neutralnego uczuciowo. Nie są tak obojętne chronologicznie i pozbawione kontekstu historycznego jak choćby Mazowsze czy Wołyń, Śląsk czy Podole. W historiografii polskiej, w odniesieniu do późnego średniowiecza i czasów nowożytnych używano zwykle nazw Ruś Halicka, Czerwona bądź Koronna, inne stosowane określenia nacechowane były polityczną tendencyjnością.

Historiografia ukraińska najchętniej posługiwała się terminem Hałyczyna, w języku polskim w tej postaci fonetycznej nie funkcjonującym, odczuwanym jako anachronizm dla epoki XIV-XVIII stulecia. Już choćby owa zmienność i wrażliwość na użycie tej a nie innej nazwy wskazuje, jak istotne miejsce zajęła ta prowincja w historii Polaków i Ukraińców, z jakim napięciem i emocjonalnym zaangażowaniem myślano, mówiono i pisano o niej.

Istotnie, starsze historiografie zaangażowane w poznawanie historycznej przeszłości Rusi Czerwonej, a więc przede wszystkim dziejopisarstwo polskie, ukraińskie, rosyjskie, ale również niemieckie nie umiały uwolnić się spod presji własnych tradycyjnych, narodowych ujęć, jakże często zapominając o obiektywizmie, bezstronności i potrzebie suwerenności badań historycznych. W ukraińskim piśmiennictwie zapanowała legenda staroruskiej doskonałości i harmonii zrujnowanej przez obcą okupację, polska myśl historyczna obracała się wśród tak zmitologizowanych kategorii jak Kresy, przedmurze chrześcijaństwa, polska misja dziejowa na Wschodzie, szczeplenie cywilizacji.

Dzisiaj ta prowincja nie istnieje – w poprzek niej biegnie obecna granica polityczna między Rzeczpospolitą Polską i Republiką Ukrainy, której linia została przesądzona wcześniej na mocy porozumień wielkich mocarstw i ustalona ostatecznie w 1951 r. Tę starą dzielnicę zniszczył jednak nie tylko ów nowo poprowadzony, przegradzający kordon graniczny, lecz również tragiczne doświadczenia II wojny i lat powojennych, które rozbiły specyficzny układ społeczny, etniczny i kulturowy, narosły tu od wielu stuleci.

Ta historyczna już, miniona swoistość i wyjątkowość Rusi Czerwonej brała się z jej pograniczności, z tej samej cechy, która kształtowała specyfikę innych regionów wspólnych, stykowych: Katalonii, Tyrolu-Górnej Adygi, Alzacji, Irlandii Północnej, Śląska, terytoriów bałkańskich i wielu innych. Czy są wspólne rysy w ich dziejach, podobne doświadczenia, niezależnie od oczywistych różnic – to pytanie niejednokrotnie pojawiało się w historiografii wielu krajów Europy i Ameryki.

Pogranicze to kategoria trudna do zdefiniowania. Poprzestańmy, bez wdawania się w analizy antropologiczne i etnologiczne, bez uwzględniania niuansów semantycznych w terminologii „granicznej” innych języków, na prostej definicji słownikowej w sferze polszczyzny: „pogranicze – obszar w pobliżu granicy dzielącej pewne przestrzenie, zwłaszcza teren nad granicą państwa. Wykorzystanie tego terminu w postaci „pogranicze etniczne, pogranicze kulturowe” określone zostało jako metaforyczne. Nie jest to słuszne, bowiem granica polityczna jest tylko jedną z wielu granic realnie istniejących w przeszłości i obecnie. Szerokie użycie terminu jest w pełni uzasadnione, a nawet rozpowszechnione w literaturze naukowej. Ma na przykład zastosowanie w definicji socjologicznej, która określa pogranicze jako miejsce kontaktu społeczno-kulturowego przedstawicieli dwóch lub więcej narodów bądź grup etnicznych.

Tak pojmowane pogranicze wymaga zatem granicy otwartej, sprzyjającej osmozie, dyfuzji. Pogranicze ulegające wymieszaniu nie jest jednakże hybrydą, prostą sumą cech sąsiadujących kultur. Dzięki procesom interakcji tworzy nowe całości kulturowe, nowe postaci tożsamości społecznej, osobny typ „człowieka pogranicza”. Poczucie przynależności



Członek rodziny Wiktorów na polowaniu w Świrzu, 3.01.1931 r. Archiwum rodzinne. Źródło: Miejska Biblioteka Publiczna w Sanoku

etnicznej, kulturowej i państwowej komplikuje się, generując postawy nie spotykane na obszarach jednolitych. Dobrze znanym przykładem jest choćby postawa deklarowana formułą *gente Ruthenus, natione Polonus*. Obszary pograniczne cechuje swoistość kulturowa, są one twórcze kreując swoją odmienność, odróżniając się od swych kulturowych mateczników. Wiąże się to ze stopniową zmianą relacji pogranicza wobec centrum.

W pojęciu pogranicza *implicite* zawiera się kategoria peryferii. Pogranicze określa się bowiem również jako teren najbardziej oddalony od centrum, położony na obrzeżu, na uboczu. Takie *nota bene* było właśnie znaczenie słowa 'ukraina', zanim stało się nazwą własną całego kraju. Położenie na krańcu implikuje od razu stan rozrzedzenia, rozgęszczenia, swoistej kulturowej anemii. Sytuacja marginalna sugeruje stan opóźnienia cywilizacyjnego, zwolnienia procesów rozwojowych, zaniedbania, a ponadto niesamodzielność, uzależnienie, podrzędność, podporządkowanie, upośledzenie, wtórność. W literaturze podkreśla się, że pogranicze przestaje być peryferyjne, marginalne, jeżeli przekształca się w osobny region i zaczyna formować swoje własne centrum w oparciu o cechy swej swoistej, pluralistycznej kultury. Staje się wtedy pograniczem nie-peryferyjnym, orientującym się na siebie.

Pogranicze polsko-ruskie nie było jednakże rubieżą, którą należy postrzegać jako barierę osadniczą, pas pustek, ziemię niczyją, lecz stanowiło obszerny region o starym zasiedleniu, penetrowanym przez wielokierunkowe migracje. Zamieszkałe tu wspólnoty etniczne i wyznaniowe nie żyły w izolacji od siebie, nie były oddzielone barierami terytorialnymi, granicami linearnymi. Nie była to także peryferia kulturowa, obszar rozproszenia, małej aktywności, lecz strefa przepływu i syntezy różnych wątków i tradycji. Nie był to zaścianek, odległy partykularz narzucający stan cywilizacyjnego odcięcia i zastoju.

Cechy pogranicza zawisłe są w pierwszym rzędzie od charakteru granicy. Zależnie od swych funkcji może być ona osadnicza (etniczna) bądź polityczna, zależnie od relacji wobec krajobrazu geograficznego może być sztuczna bądź naturalna, wobec krajobrazu kulturowego zgodna bądź nań nałożona, zależnie od stopnia „przepuszczalności” może być otwarta bądź zamknięta. Granice sztuczne, nałożone, otwarte tworzą pogranicza kontaktu, obcowania, konfliktu lub asymilacji; granice naturalne, zgodne z przekształconym przez człowieka pejzażem, niedrożne wiodą ku separacji.

Układ fizjograficzny Rusi Czerwonej predestynuje do tworzenia pogranicza pierwszego typu. Zdaniem geografów ta dzielnica nie stanowi zwartej jedności. Przeciwnie, jest urozmaicona, mieści w sobie odmienne formacje krajobrazowe, oferujące tak różne warunki gospodarowania jak, poczynając od północy, niskie, nawodnione Polesie, wierzchowinowa Wżyna Wołyńska, obniżona, podmokła Kotlina górnego Bugu i Styru z niewydajnymi glebami, wysoczyznowe Opole, wyżynna płyta bezleśnego, żyznego Podola porozcinanego jarami, pocięte dolinami Przedgórze, gęsto zalesione wyniesienia Karpat.

Właściwością Rusi Czerwonej, naturalną dla obszarów pogranicznych, jest przesycenie różnymi granicami naturalnymi. Tędy przebiega wielki europejski dział wodny między zlewiskiem Bałtyku i Morza Czarnego, tędy przechodzą liczne linie zasięgu gatunków roślinności, tu schodzą się granice różnych dziedzin klimatycznych. Kontur prowincji nie jest wszakże oparty na wyrazistych, ostrych elementach limesowych, zdolnych różnicować osadnictwo. Te, które w sobie zawiera, jak puszczański łuk Karpat czy trudny do sforsowania wąski garb Roztocza mają układ równoleżnikowy, a więc nieprzydatny do podtrzymania i utrwalania podziałów państwowych czy etnicznych, które wymagałyby linii południkowych. Właśnie takiej osi granicznej, zorientowanej w kierunku północ-południe należy się spodziewać z uwagi na usytuowanie obu, polskiego i ruskiego terytoriów etnicznych względem siebie.

Literatura geograficzna podkreśla otwartość tej prowincji w kierunku między ziemiami rdzennie polskimi a krajami czarnomorskimi. Eugeniusz Romer twierdził, że sceną dziejową Polski jest międzymorze bałtycko-pontyjskie. Lwów leży w równej odległości od obu. Ruś Czerwona stanowi dla tej osi ważne, kluczowe miejsce korytarzowe. Jego znaczenie jest tym większe, iż granica polsko-ruska stanowiła zarazem odcinek jednego z najważniejszych cywilizacyjnych frontów Europy, dzielącego peryferie dziedzictwa rzymskiego od świata bizantyjskiego, Zachód schrystianizowany przez Kościół łaciński od prawosławnego Wschodu. Jest to zarazem linia podziału między Słowiańszczyzną zachodnią i wschodnią. Zbiegają się tu, poza granicami naturalnymi granice etniczne, cywilizacyjne i religijne, wzmacniając stopień zróżnicowania oraz piętrząc warstwy różnorodnych oddziaływań.

W tych warunkach geopolitycznych Ruś Halicka stanowiła obszar przejściowy między Europą Środkową, Prusami, Czechami, Polską i Wę-

grami a Wschodem kontynentu: dalszymi ziemiami ruskimi zajmowanymi sukcesywnie przez księstwo litewskie, gospodarstwem mołdawskim, chanatem krymskim. Zajmowała pozycję pośrednią nie tylko jako korytarz ekspansji politycznej, migracji ludnościowych, szlak pochodów wojennych, lecz również jako przekaźnik treści kulturowych, rozwiązań organizacyjnych, wzorców ustrojowych. Funkcje te nasiliły się po zmianach politycznych następujących po 1340 r. Wchłonięcie zachodnich ziem ruskich przez Polskę zlikwidowało granicę polityczną, odsłaniając kraj na dużo intensywniejsze niż dotąd oddziaływania płynące z Zachodu.

Cdn.

Red. W zbiorach Austriackiej Biblioteki Narodowej znajduje się czasopismo „Praca”, redagowane przez Franciszka Bogorję Twardowskiego. W numerze 3 z 10.04.1863 r., na str. 19, jest artykuł wysłannika tego pisma z podróży do Przemyśla. Zachowano oryginalną pisownię.

Korespondencje

Z pod Brzeżan. Dobrze to być korespondentem i nowinki z okolicy swojej w obrębie kilku mil pozbierać tam, gdzie jeśli nie kolej żelazna, to przynajmniej dobrze utrzymane drogi ułatwiają przebycie w przyzwyczajonym czasie paremilowej przestrzeni, ale niestety! mnie niebo taką okolicą nie obdarzyło. Chciałem się naocznie o zarazie bydła w Rohatynie przekonać – odległość niezbyt wielka, zaledwo półtora mili od miejsca mego pobytu, a przecież dla drogi nie do przebycia, pomimo najszczerzych chęci moich, mego waznicy i niezłych parę koni tylko na życzeniu się skończyło i nie dojechawszy połowy drogi, nazad się wrócić musiałem.

Nauczony doświadczeniem, zanim się w przeciwną stronę do Dunajowa wybrałem, wypytywałem się o drogę, i radzono mi wcale się nie puszczać, gdyż przez Narajów na Łanach nie można przejechać, tylko gdzieś zaułkami i polami dobrze świadomi drogi objeżdżają. Cóż robić? trza się trzymać tak zwanej cesarskiej drogi, która już dla samej komunikacji pocztowej, i z przyczyny, że jadący opłacaniem rogatek sami koszt naprawy ponoszą, dobrą być powinna.

Otóż wybrałem się do niedalekich Przemyślan, i w istocie przez Błotnię jakotako przejechawszy, a w Janczynie dość drogo, bo 16 koron myta zapłaciwszy, z dobrą myślą jadę dalej: dotarłem wprawdzie do Meryszczowa, ale tutaj już rozczarowany zupełnie co się tyczy tej drogi zastałem. Szuter wprawdzie po obu stronach już parę lat leży, ale na niej dziury półkociowe na przemian z kamieniami gruntowymi sterczącymi na tyleż w górę o poświadczenie tego do wszystkich konduktorów pocztowych jadących tą drogą się odwołując, tak, że zaprawdę mimowolnie pytanie się nasuwa, że co u licha płacić drogowe za drogę, która mogłaby służyć za wzór złych dróg?

Zlazłszy z bryczki, nie mogłem bowiem dla zbyt długiego trącania na niej wysiedzieć, szedłem pieszo mimo drogi wraz z wójtem z pobliskiej wsi, którego fura porostu za moją się wlekła. Oczywiście rozmowa zaczęta się od złej drogi, i taką samą skargę z ust jego posłyszałem, że co sobotę musi jeździć na sesję do urzędu powiatowego; mając więcej jak trzy mile do przebycia, musi jechać furą i roгатkę co tydzień z funduszów gminy opłacać, ale jeszcze, wyjąwszy w zimie, kiedy śnieg dziury zarówna, nigdy na przestrzeni od Brzuchowic przez Meryszczów aż pod Przemyślany dosiedzieć nie mógł.



Galiczyjska
wiejska studnia
na tle biednej
chaty krytej
słomą. Źródło:
<https://medium.com/@osamce/>

Cieszyliśmy się nadzieją, że kiedyś może jakiś wyższy urzędnik zmuszony tak jak my w błocie milę się przespacerować, temu nieporządkowi zaradzi; a tymczasem częścią jadąc, częścią pieszo dowlokłszy się do Przemyślan, zacząłem się wywiadywać o nowinki, ale tam nie wiele

dowiedzieć się nie mogłem, i napowrót tę drogę przebywszy, która, jak na wielki tydzień bardzo stosownie krzyżowe stacje przypomina, do domu wrócić musiałem, z kądem o tyle tylko z rzeczy gospodarczych donieść mogę, że mrozy i zimna robotom wiosennym wprawdzie przeszkadzają, koniczynom przeszłorocznym znaczny uszczerbek przyniosły, ale na oziębienie żadnego wpływu nie wywierają, która bardzo ładnie wygląda, i w skutek czego ceny zboża, wyjąwszy owsa znacznie ciągle spadają, tak że teraz już za korzec żyta tylko 2 zł. 80 cent, pszenicy 5 zł., jęczmienia 2 zł. 40 ct. płacą – kartofle stosunkowo dosyć drogie, gdyż za korzec 1 zł. 60 ct. dostać można.

Pokłosie naszych publikacji

Red. Na stronie chidusz.com podano rozmowę Michała Bojanowskiego z Bronisławą Stępniewską (Fryderyką Stein), Żydówką ze Śniatynia. W jej wspomnieniach przewija się rodzina z Przemyślan. Wpadka Żydów, których miał zawieźć na Węgry jakiś kierowca, nastąpiła 23 grudnia 1943 r.

(...) Pewnego dnia przyjechała Ukrainka, niania mojego kuzyna, syna cioci Frydy z Przemyślan, u której byłem po śmierci mamy. Mieli tam już likwidować getto, wszyscy strasznie się bali. Przywiozła ze sobą trochę pieniędzy. Już raz była u nas wcześniej, to wtedy Bronisława jej powiedziała, że żyjemy na pewno, ale jesteśmy w Rumunii i nic więcej nie może mówić. Teraz, jak za drugim razem przyjechała, to powiedziała prawdę. Ukrainka zapytała, czy nie przyjęłaby jeszcze cioci Frydy, jej syna, co po wojnie zamieszkał w Wiedniu, i siostry Frydy. Mieli trochę pieniędzy, więc nas zasilili. Skąd mieli? Ci wujkowie, co w Przemyślanach się na wojnę szykowali, wstąpili do partyzantki. Handlowali, zdobywali broń, kradli żywność Ukraińcom. Jeden z nich wysłał swoją żonę farmaceutkę i córkę na Węgry. Obie miały idealny, aryjski wygląd. Przekupił jakiegoś woźnicę. Był szczęśliwy, że pojechały cało i bezpiecznie. Jak się później okazało, tamten od razu je wydał. Ale i tak później, po wojnie, wujek długo jeszcze szukał dziecka. Myślał, że skoro takie małe i zupełnie jak aryjskie, to może nie zabili. (...)

Damian K. Markowski w książce „W cieniu Wołynia. Antypolska akcja OUN i UPA w Galicji Wschodniej 1943-1945” (Wydawnictwo Literackie) tak pisze o akcji Polaków w Chlebowicach Świrskich (str. 270): „26 czerwca oddział AK ze Świrza dokonał kolejnej akcji odwetowej na ukraińskich mieszkańcach Chlebowic Świrskich. Napad był równie brutalny jak ten z marca, choć liczba zabitych była mniejsza. Spalono 33 gospodarstwa, zamordowano 19 Ukraińców, a kolejnych 7 osób zostało rannych”.

Użyte sformułowania wymagają wyjaśnień i opisu zgodnego z prawdą. Postronny czytelnik pomyślałby, że w Świrzu była tak silna organizacja konspiracyjna, że mogła wystawić oddział do napadu na sąsiednią wioskę. Członkowie świrskiej AK posiadali wiele broni, jednak nie mieli doświadczenia w prowadzeniu akcji ofensywnych. Ponadto podziemie ukraińskie w Chlebowicach Świrskich było dobrze zaopatrzone w broń. Tak więc oddział ze Świrza nie mógł dokonać napadu na tę wioskę.

Natomiast na akcję odwetową wobec ukraińskich mieszkańców przysiółka Chlebowic Świrskich, Baczacza, zdecydował się dowódca oddziału partyzanckiego, 1. kompanii 40. pp., kpt. Fryderyk Staub „Proch”. Oddział ten miał także bronić Świrza w razie konieczności. Tak o wyprawie do Baczacza wspominali partyzanci.

Pod koniec czerwca (26.06 1944 r. lub dzień później) silny patrol wybrał się nocą do odległego Baczacza, trasą najdłuższą z dotychczasowych. Skład grupy był wyjątkowy, bowiem udział wzięli najbardziej doświadczeni partyzanci i wyposażeni w broń automatyczną - wspominał „Puchacz”, dowódca grupy. Zważywszy dużą odległość obozowiska partyzantów od Niedzielisk oraz wspomnianą zmianę miejsca postoju, należy sądzić, że była to akcja represyjna za dokonany napad bojówki ukraińskiej z tej wioski na świrski przysiółek Halinę i zabicie w dniu 24 czerwca dwóch jej mieszkańców oraz spalenie zabudowań polskich gospodarzy, a także małżeństw mieszanych. [Wspomina o tym M. Zmur, „Spotkania Świrzan” nr 157, str. 40]. Przewodnik był ze Świrza, który poprowadził nas przez Ostrów, Borzeniska, pustą Halinę i dalej na południe.

Przed Baczaczem skręciliśmy na wzgórze, skąd z dwóch erkamów otworzyliśmy ogień, na oślep, bo nic nie było widać. Dopiero płomień oświetliły kilka najbliższych chat, strzelali także z karabinów.

Po tej akcji wycofaliśmy się, i tą samą wróciliśmy do obozu. Strat ani rannych pośród nas nie było żadnych. Po tej akcji oddział zmienił miejsce postoju, przenosząc się do lasu za Ługiem – wspominał „Puchacz”.

Brak innych podstaw przemawiających za wyborem tej odległej wioski, w linii prostej było do niej prawie 8 km, celu wykonania akcji na taką skalę.

Przy tej okazji warto przytoczyć fragment ukraińskiego „Protokołu w sprawie akcji odwetowych na Polakach”, w którym podano, że w Halinie banderowcy zabili 80 Polaków. Taka liczba wiązała się z ogólną liczbą zamieszkałych tam osób, które uciekły przed napadem.

Redakcja



*Zdjęcie przyrodniego brata
mojego dziadka (Jana
Stefana) – Ignacego Szweda
ze Świrza (ur. w 1913 r.
syna Jana i Teofili z domu
Buczacka).*

*Był w zakonie we Lwowie,
ale jakim, to nie wiem.
Patrząc na habit, to nie wiem,
czy to nie cysters lub
dominikanin? Wiem tylko tyle,
że po wojnie mieszkał
w Krakowie, nie był już
zakonnikiem, bo według słów
mojej babci,
jego zakon/klasztor? został
rozwiązany. Niestety, babcia
nie potrafiła niczego
konkretnego w tej sprawie
powiedzieć. Zmarł w roku
1997.*

Krzysztof Stefan

i herb Leliwa - żony Gabriela Świrskiego oraz inskrypcje ze znacznymi ubytkami. Pełna konserwacja - dr Janusz Smaza z Warszawy z Zespołem (finansowanie BPR); na razie odpowiednio zabezpieczona płyta przechowywana jest (miała być?) w kruchcie; powinna być wmurowana w wewnętrzną ścianę kościoła. Dawny kościół parafialny, obecnie cerkiew gr.-kat. (www.wspolnotapolska.pl) Redakcja oczekuje na fotografię wmurowanej płyty.

+ + + + + + + + +

Na Facebooku jest informacja o Grupie Miłośników Przemysłań, założonej 5 lat temu. Dotyczy to również okolicznych miejscowości, wchodzących w skład dawnej i dzisiejszej parafii św. Piotra i Pawła, oraz powiatu przemysłańskiego. Interesuje Cię historia tego regionu – to grupa dla Ciebie! <https://przemyslany-sdb.com/>

Grupa liczyła 128 członków. Tylko członkowie grupy mogą sprawdzić listę członków grupy i zobaczyć ich posty. Z zapisów zdaje się wynikać, że obecnie członkowie grupy nie przejawiają aktywności.

+ + + + + + + + +

Słabo rozpoznana jest historia leśniczego Michała Borejzy (1880-1946) i jego gajowego Michała Żółtańskiego (1896-1988) ze Świrza w powiecie Przemysłań. Pracowali w lasach dóbr generała Roberta hr. Lamezana de Salins. W skrytości przed innymi wskazywali Żydom miejsca bezpiecznego ukrycia

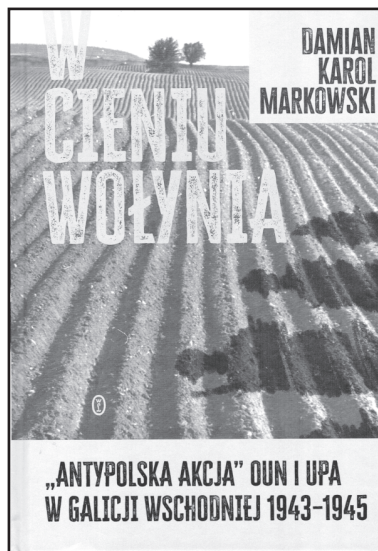
się w lesie oraz zaopatrywali ich w żywność i broń.

(www.krosno.lasy.gov.pl/).

Obszerne informacje o niesionej pomocy przez obu mężczyzn zostały podane przez redakcję naszej gazetki do katowickiego IPN-u. Może ukażą w osobnym opracowaniu.

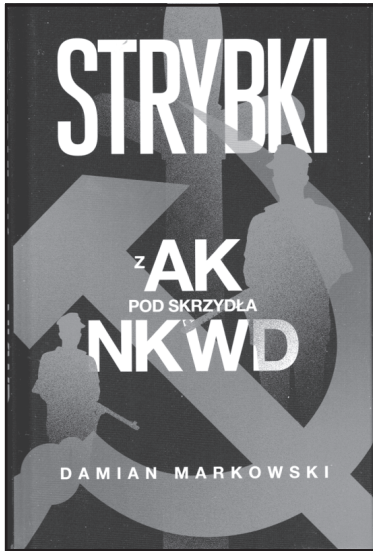
+ + + + + + + + +

Dzięki łaskawości p. Krystyny Salkitzoglou redakcja otrzymała dwie ważne książki znakomitego autora, Damiana Markowskiego: „W cieniu Wołynia. Antypolska akcja OUN i UPA w Galicji Wschodniej 1943-1945” oraz „Strybki. ZAK pod skrzydła NKWD”.



W drugim opracowaniu znajduje się wiele interesujących tekstów, które są związane z naszym powiatem. Dotyczą bojówek OUN i UPA oraz oddziałów Istrebitiel-

nych Batalionów. W następnym zeszytcie naszej gazetki ukażą się uwagi redakcyjne.



+ + + + + + + + +

Mikołaj (zm. w 1983 r.) i Katarzyna (ur. 15 marca 1903 r.) Bezruczka w czasie II wojny światowej mieszkali we wsi Wyżniany. Rodzice ich dostarczali żywność rodzinie Gesund pochodzenia żydowskiego. Mikołaj i Katarzyna Bezruczka otrzymali tytuł Sprawiedliwy wśród Narodów Świata w 1991 r.

+ + + + + + + + +

Krystyna Sieraczyńska (ur. 13.12.1927 r. w Wyżnianach, zm. 21.01.1925) – polska artystka malarzka. Absolwentka Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

Artystka ma na swym koncie liczne wystawy indywidualne i zbiorowe w kraju i zagranicą. W jej malarstwie przeważają olejne studia krajobrazowe, stanowiące przetworzone wizerunki rzeczywistych miejsc, a także sceny rodzajowe, zaobserwowane podczas podróży oraz pastelowe kompozycje barwne, zainspirowane roślinnością ogrodową, zwłaszcza angielską. Podstawowy środek malarskiego wyrazu stanowi w jej twórczości kolor, często uwolniony z reguły realistycznej reprezentacji. (www.wikipedia.pl)

+ + + + + + + + +

Teren działania parafii rzymskokatolickiej w Przemyślanach: Przemyślany, Korosno, (Krosienko) Zatemne (Zaciemne), Meryszczów, Wołków, Borszów, Wypyski, Ciemierzyńce, Czupernosów, Uszkowice, Chlebowice Świrskie, Świrz, Pletenice.

Kancelaria czynna każdego dnia po Mszy świętej.

+ + + + + + + + +

Spotkania Świrzan - biuletyn wspomnieniowo-historyczny Świrzan i Ich Potomków. Nr 182. Zebrał, opracował i wydał – Józef Wyspiański. Adres redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokola 28/6, tel. 76-74-94-125, adres internetowy: erjotwulubin@wp.pl. Wydano w Lubinie, VIII 2026 r. Druk MCKK Lubin. Przedruk tekstów pod warunkiem podania źródła. Rozpowszechnianie – bez ograniczeń. Redakcja będzie wdzięczna za wszelkie uwagi o przedstawionych treściach. Redakcja nie zawsze identyfikuje się z poglądami wyrażonymi przez autorów.